



ADOLF DYGAŚIŃSKI.

N O W E L L E.

Serya trzecia

I. DNI I NOCY W KANTORZE. — II. GŁÓD
I MIŁOŚĆ.

WARSZAWA

Wydawnictwo Przeglądu Tygodniowego.

1885.

ADOLF DYGASIŃSKI.

N O W E L L E.

Serya trzecia

I. DNI I NOCY W KANTORZE. — II. GŁÓD
I MIŁOŚĆ.

WARSZAWA

Wydawnictwo Przeglądu Tygodniowego.

1885.



Дозволено Цензурою
Варшава 1 Августа 1885 года.

**INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN**

Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
00-920 Warszawa
Tel. 26-68-63, 26-52-31 w, 42

Druk Przeglądu Tygodniowego, ulica Czysta, Nr. 4.

665
<http://rcin.org.pl>

DNI I NOCY W KANTORZE.

I.

Franciszek Ksawery, Bogumił — dwóch imion — Zabicki, jako *Franus*, dostał się w służbę za chłopaka pokojowego do domu pana barona Abersznytta w Warszawie. Służąc tutaj przez lat ośm, Franus wzniósł się nareszcie na stanowisko lokaja zwyczajnego; w domu bowiem pana barona, byli i nadzwyczajni lokaje. Zabickiego, jako lokaja, nazywano teraz w całym domu poprostu *Franciszkiem*. W czasie następnym Franciszek został odznaczony, zrobiono go lokajem nadzwyczajnym, w nagrodę za przytemne znalezienie się podczas przypadkowego zemdlenia pani baronowej. Pełnił on teraz obowiązki, wymagające szczególnej przytemności umysłu; mianowicie zaś towarzyszył zawsze baronowej w czasie składania przez nią wizyt, a nadto był jedynym heroldem, zwiastującym w salonie

pani przybycie rozmaitych gości. I na tym zaszczytnym posterunku pozostawał Franciszek przez lat dziewięć, do roku 1848, kiedy już liczył trzydzieści ośm lat życia.

Wtenczas znowu awansował grubo z woli pani baronowej, a na skutek znalezienia się również bardzo przytomnego. W tym to bowiem pamiętnym roku, faworytalna suczka pani baronowej, *zańcia*, udławiła się podczas obiadu kostką z pulardy i o włos nie wyzionęła tohu życiowego. Kiedy w całym domu wszyscy, nie wyłączając pana barona, potracili głowy i nie wiedzieli, co tu począć, wtedy Franciszek wziął spokojnie suczkę na ręce, włożył jej palec do gardła i kość wyciągnął, właśnie w chwili, gdy pani baronowa, przerażona w najwyższym stopniu, o mało co nie zemdląła.

Odtąd reputacya Franciszka, jako czło wieka nadzwyczajnie przytomnego, ustaliła się zupełnie i była w całej rodzinie państwa baronowstwa powszechnie znaną, cenioną oraz stawianą za przykład wszystkim innym zwyczajnym i nadzwyczajnym lokajom. Za ocalenie suczki, został Franciszek ka-

merdynerem, to jest zwierzchnikiem dwóch pokojowych chłopaków, dwóch lokajów zwyczajnych i jednego nadzwyczajnego. Oprócz tej władzy, dzierzył on w swoich rękach klucze od piwnicy, sreber, szkła, porcelany i w ogóle od sprzętów a naczyń, służących do zastawy pańskiego stołu.

Należy tu dodać, że już z godnością lokaja nadzwyczajnego, pani baronowa zaszczytowała byłą Franciszka imieniem innym, brzmieniem nieskończenie przyjemniej, bo *François*. Po pamiętnym roku 1848, jednego dnia pan baron zwrócił łaskawą uwagę na kamerdynera i w przystępie tej łaskawości zapytał go o nazwisko.

— Zabicki! Do usług Jaśnie Wielmożnego pana barona! — Wyrecytował *François*, jednym tchem odpowiadając.

— Będziesz się odtąd nazywał *Zabickim* w moim domu! — Rzekł poważnie i z godnością pan baron.

I znikł stopniowo: Franuś, Franciszek, *François*, a pozostał Zabicki — wszystko dzięki łasce pańskiej. Atoli, oprócz obojga państwa baronowstwa, nikt w domu nie śmiał

teraz używać poprostu samego nazwiska; wszyscy, nawet nauczyciele młodych baronowiczów, mawiali: „Panie Zabicki”, albo i: „Szanowny panie Zabicki.” W rok niespełna, Zabicki, jako taki, zapalał miłosnem uczuciem ku pannie Klarze Sonnabend, starszej garderobianie pani baronowej i uczoiwie uperfumowany, wypomadowany, z kapeluszem pod pachą, w czarnym fraku, białych rękawiczkach, w takimże krawacie, w świetnych lakierowanych butach, poprzyściągł u stóp ołtarza dozgonną miłość małżeńską owej dziewicy.

Konie oraz powóz baronowstwa, jak przywiozły do świątyni parę nowożeńców, tak ją też i odwiozły nazad bardzo uszczęśliwioną do mieszkania przy ulicy Marszałkowskiej. Zabickiego znajdziemy i nadal w usługach barona Abersznytą; ale jego małżonka zrzekła się godności garderobiany, zapra gnęła bowiem być panią swego domu, panią Zabicką.

Bóg błogosławił związkowi małżeńskiemu Zabickich. W rok niespełna po ślubie, już wykrzykiwał w kołysce energiczny po-

tomek płci męskiej; godnem zaś jest uwagi, że także niespełna w rok po ślubie i pani baronowa powiła była syna. W następnym roku małżeńskim w domu Zabiickich ni ztąd, ni zowąd pojawiła się córka; ale kubek w kubek to samo miało miejsce drugiego roku po ślubie pana barona z panią baronową. Trzeciego roku wybornego i przykładowego pożycia małżonków Zabiickich, bardzo uroczystie i wesoło obchodzono chrzciny pucołowatego chłopaka. Tu znowu zupełna analogia z rozwojem rodziny Abersznytów. Nareszcie, kiedy w ozwartym roku pani Klara dała mężowi swemu i gatunkowi ludzkiemu trzeciego syna, wtedy pani baronowa była już tak zachwycona tem naśladowaniem swojej własnej osoby przez byłą służebnicę domu Abersznytów, iż raz, usiadłszy po obiedzie na kanapie obok dostojnego małżonka, rzekła:

— Wypadałoby nam jednak coś zrobić dla tych Zabiickich.—Z temi słowy pani baronowa uśmiechnęła się niezmiernie przyjemnie i przebaknęła coś o dawnych szczęśliwych chwilach młodości i miłości

Baron był już człowiekiem otyłym, ciężkim, więc lekko się odsunął od pokus małżonki; poczuł w sobie *horror vacui*, westchnął ciężko, pociągnął silnie cygaro, wypuścił wielki kłęb dymu, a sapiąc i patrząc w sufit, rzekł z namaszczeniem:

— Dawno już myślałem o tem, aby go mianować marszałkiem w naszym domu; więcej dla tego człowieka zrobić nie mogę! — Poczem znowu pan baron pociągnął cygaro, znowu puścił kłęb dymu, westchnął ciężko i rozparty na kanapie sapał a sapał.

— Jakiś ty zawsze mądry, Muniu! — Zawołała uszczęśliwiona baronowa. — Czy może być pomysł szczytniejszy, jak mianowanie Zabiokiego marszałkiem? Znakomicie! Znakomicie!

Po tych czterech latach urodzaju, nastąpiły w rodzinie Zabiokich lata nieurodzajne. Franciszek Ksawery, Bogumił—dwóch imion — Zabioki, jako marszałek, nie miał już wcale dzieci.

Baron Abersznyt nietylko był baronem, ale także prezesem rozmaitych towarzystw akcyjnych, a co najglówniejsza — szczęśli-

wym i bogatym posiadaczem wielu włości, kamienie oraz kapitałów. Wszystkie finansowe operacye udawały mu się przewybornie, więc majątek rósł, jak ciasto na drożdżach. Ale i tacy ludzie nie są szczęśliwi; baron stękał ciągle, utyskiwał i narzekał na ciężką pracę; pomimo tego nie porzucił on do samej śmierci owej ciężkiej pracy robienia majątku. Był już bardzo starym człowiekiem, kiedy nań przyszła choroba i musiał umierać tak samo, jak każdy inny.

Owdowiała baronowa przelała całe swoje zaufanie na Zabickiego, a gdyby w jej wyobraźni dosyć bujnej, był jeszcze jakiś tytuł wyższy od godności marszałka, byłaby go nim niezawodnie obdarzyła.

Synowie byli dorośli, odebrali swoje posagi. Najstarszy z nich, Czesław ożenił się z jakąś hrabianką, a właściwie z córką pewnego tytularnego hrabiego. Damy świata arystokratycznego twierdziły, iż Czesław zrobił karierę.

— Jeszcze mu żyd z nosa nie zlaźł — wołały — a już się drze pomiędzy hrabiów.

Od kobiet zwykle rozumniejsi mężczyźni

patrzyli na ten związek, jako na prosty interes. Bo w czymże Abersznyt był od nich gorszy lub lepszy? I on miał konie wyścigowe, piękne psy, i on lubił kobiety, wino, karty! Wart Pac pałaca, a pałac—Paca.

Otwierając dom w Warszawie na wielkopañską skalę, baron Czesław wziął także do siebie i Zabickiego z tytułem marszałka. Było to w r. 1864.

Młody Abersznyt pomnażał fortunę ojca, a imię jego aż do dzisiejszego dnia szczyści się znaczną powagą w świecie finansowym.

W domu możnego pana, używał marszałek Zabicki wielkiej popularności i cieszył się nieograniczonym zaufaniem swoich państwa. Był on wprawdzie sługą, lecz miano go za przyjaciela rodziny, doradcę i poufniaka, co przemawia na korzyść szlachetnego sposobu myślenia Abersznytów. Tylko jeden stary marszałek z całego domu, mógł bez ceremonii zbliżyć się do pani baronowej, tylko z nim jednym rozmawiała ona o interesach gospodarskiego zarządu; on udzielał rad i słuchano go, on się wtrącał nawet do

wychowania dzieci, co również nie pozostawało bez wpływu.

Lekkie moralne nauki udzielał marszałek Zabicki niejednokrotnie i samemu panu baronowi Czesławowi, zwłaszcza gdy ten ostatni po całonocnych hulankach powracał do domu rano lub nad samem ranem. W takich razach Zabicki spać się nie kładł nigdy, lecz oczekiwał na przybycie pana, a gdy pan powrócił, marszałek budził jego sumienie męża i ojca, mrużąc pod nosem oraz zrzędząc; nareszcie rozbierał pijanego zwykle barona, kładł go do łóżka, poczem uspokoiony sam się udawał na spoczynek.

Nadszedł rok 1883; marszałek miał już na głowie włosy białe jak mleko i był nadzwyczajnie poważnym starcem. Baron Czesław stał się też mężem pełnym powagi a roztropności i taktu, co jest tak właściwe ludziom, mającym do czynienia ze znikomym kruszczem. Już i syn barona, baronowicz Adolf liczył prawie dziewiętnaście lat życia.

Jaka jest różnica między biedakiem a bogaczem? Przedewszystkiem każdy bogacz

ma firmę, a firma potrzebuje pewnego kantoru. Biedak załatwia swoje finansowe interesy bardzo pierwotnie, nie zapisuje, a i tak zna wybornie stan swój czynny i bierny. Firmę stanowi dobra opinia handlowa, to jest przekonanie ogółu, że ten, kto np. sprzedaje zdrowie, nie sprzedaje choroby,— że ten, kto handluje rozumem, posiada rzeczywiście rozum, a nie surogat rozumu. Dochody firmy trzeba obliczać, aby wiedzieć, ile ludzie płacą za swoją łatwowierność; więc gdy handel idzie *en gros*, potrzebne są pewne bióra, gabinety, czyli kantor, w którym każdy znajdzie poszukiwany przez siebie towar, a także może ujrzeć oblicze tak zwanego pryncypała firmy.

Każdy człowiek, co się wzniósł — jak to mówią—nad poziom społeczny i co nad tym poziomem widnieje, jest już firmą handlową. Ale nie każdemu jednak potrzebny jest zaraz kantor.

Kiedy człowiek rzuci się po raz pierwszy w świat, zaciekawieni bliźni pytają: „Któż to jest?” I nieraz całe powodzenie zależy od odpowiedzi na takie pytanie. Jeżeli

bowiem zapytani bliźni, robiąc odpowiednie oczy, z poważną fizyognomią odrzekną: „To osłowiek z głową!” Wtedy zaczynasz mieć dobrą firmę i kwalifikujesz się na kupca *en gros*. Ale jeśli owi zapytywani machają ręką, kiwają głową, robią pewne dwuznaczne miny, mówiąc: „To jakiś doktór filozofii, jakiś tapicer, lub—aptekarz”! wówczas, bratku, ratuj się, bo kandydatura twoja na firmowego lichy stoi. W takim razie możesz być chyba pokątnym doradcą, homeopatą, nauczycielem prywatnym, lub założyć sklep z wiktuałami. Bo z takiej odpowiedzi ów przydomek „jakiś”, rozchodzi się wśród ludzkości i pies się o ciebie nie zapyta. Wtedy zawiązuje ci się świat, a do działania pozostaje jedna jedyna jakaś uliczka. Znam zdolnego adwokata, który wygrał proces w sprawie kryminalnej i uwolnił oskarżonego od oiężkich robót na Syberyi. Ale że go mało kto wzywa, przeto klient ofiarował mu, jako honorarium, parę balowych rękawiczek. Znam bardzo uczynnego lekarza, do którego zgłaszają się tylko chorzy literaci i za kuracją ofiarują mu pra-

ce swoje z własnoręcznym napisem: „w do-
wód wdzięczności, na pamiątkę”. Znam
sklepikarza, który mi się kłania bardzo
nizko przez wdzięczność, iż ja jeden tylko
kupuję u niego papierosy.

II.

Baron Czesław Abersznyt był wielką firmą i posiadał przedmiot tak użyteczny w handlu, iż nie potrzebował niczyjej rekomendacyi. Kiedy Abersznyt wchodził na zebranie jakiegobądź gatunku, ludzie mu się kłaniali, ustępowali miejsca, prawili grzeszności jakby pięknej kobiecie. A jeżeli przypadkiem na zebraniu był ktoś, co nie znał barona i zapytał: „Któż to jest?” Niebawem sypały się zewsząd odpowiedzi: „To jest Abersznyt!” Nie trzeba było nic więcej dodawać, bo na świecie są jedni tylko autentyczni Abersznytowie, to jest oi, którzy mają pieniądze.

I baron Czesław posiadał pieniądze! Tych pieniędzy wpływało tak dużo i wypływało takie mnóstwo, że do obliczania wpływu oraz wypływu potrzebny był nietylko obszerny lokal na kantor, ale także zapelnie-

nie tego lokalu różnemi pracującemi machinami, to jest urzędnikami; nadto potrzeba było dużo piór, atramentu i papieru.

O jakże jest szczęśliwym baron Abersznyt! Imienia używa on po ojcu, więc nie potrzebował nigdy przed ludzkością stawiać swojej kandydatury na firmę. On się urodził z firmą. Urodził się, był synem starego Abersznyt—to dosyć! Potem dorósł, wziął pieniądze ojca i był jak ojciec. Jego głowa, serce — te zawiłe komplikacye ludzkiego organizmu, które filozofom podoba się nazywać duszą, nie odgrywały tutaj żadnej roli, nie miały znaczenia w firmie ani w kantorze. Widzę wspaniałą postać barona Czesława: rozparty na miękkich poduszkach, lśniącego rydwanu, z dumnym na świat pooglądem, z bokobrodami, jakich nikt drugi nie posiada w Warszawie, z pięknym wschodnim nosem! To baron Abersznyt! Dokoła niego wszystko się świeci i błyszczy: karetta, konie, stangret i lokaj i on sam cały jaśnieje—na nosie, na palcach, na brachcu.

Z ulicy zerkają na niego ludzie zainteresowanem okiem i powtarzają w duszy

„Szcześliwy baron Abersznyt!” Niektórzy się zatrzymują, ci mają zaszozyt znać pana barona; jak oparzeni, chwytają za kapelusze i zdjąwszy je, rozpromienieni kłaniają się kapeluszami poniżej pasa. Szcześliwi i ci, co znają barona Abersznytę! Aby mieć dobre oko w swoim społeczeństwie, aby być poniekąd zasłużonym, w braku innych zasług, wystaroza niekiedy tytuł „znajomego barona Abersznytę”.

Cóż mówić o szczęściu podwładnych pana barona? Taki Zabicki, marszałek dworu, nie żaden znajomy z ulicy, poufnik, mógł się sto razy na dzień zbliżać do swego pana.

A trudno to zaprawdę dostać się na jaką-bądź posadkę u barona Abersznytę. Pretendent taki poczuwa się przedewszystkiem do napisania kaligraficznie prośby, w której wylicza różne swoje życiowe zasługi, przytem dołącza przerozmaite świadectwa oraz kwalifikacye, a jeśli chce, może też w końcu swego podania dodać kilka słów wzruszających, albo i rozkrwawiających serce; na przykład w tym sensie:

„Ulituj się, Jaśnie Wielmożny Panie Ba-

ronie i Prezesie, nad ozłowiekiem, którego zlamaly losy, nieszczęscia rodzinne oraz krajowe; podaj Twą szlachetną rękę ojcu licznej rodziny!"

Pan baron — naturalnie — nie czytuje nigdy tego wszystkiego, a jego sekretarz także nie czyta, tylko niebieskim ołówkiem notuje na marginesie, iż „taki a taki jego-mość prosi o posadę wakującą w kantorze”, np. — „rachmistrza”.

Młodym ludziom się zdaje, że jakieś tam świadectwa z uniwersytetu, rozum i prawość charakteru stanowią dostateczne kwalifikacje. W kantorze tak się ludzi nie ocenia; tutaj: „każdy ozłowiek jest dobry, ale — tem lepszy, jeśli umie zręcznie chodzić koło interesów”. Jeśli się trafi jednostka przeniknięta komunistycznymi popędami i dążnościami, jest to nieraz perła w *interesie*. Taki ma dane, talent wrodzony, aby na rzecz interesu wyzyskać należyte każdego. O takim też mówi się w kantorze z szacunkiem: „To ozłowiek serjo!”

Atoli najpierwszym warunkiem dostania się do kantoru barona Abersznyta jest ma-

leńka notatka, własnoręcznie sporządzona przez hrabiego Złotorzeckiego, przez którego z hrabiów, lub którąś z hrabin — Załyżwińskich, albo wreszcie przez księcia Miłkojskiego. Notatka taka zwykle brzmi: „Kochany Baronie! Polecam Twej łaskawej pamięci pana N., indywidualum znane mi z najlepszej strony i upraszam o zrobienie czegoś dla niego”.

Do wielkich lgną wielcy, łączą się jedni z drugimi i wspierają wzajemnie; na tem polega zarząd świata. Sekretarz barona, ujrzawszy między świadectwami kandydata notatkę wielkiego pana, staje się słodkim jak karmelek, odczytuje uważniej podanie, uśmiecha się lubo, prosi siedzieć kandydata, gdyż i on dostał się na stanowisko nie „o własnej sile”. Takie protegowane indywidualum zostaje natychmiast przedstawione pryncypałowi, a w kilka dni hrabia, hrabina, księżę lub księżna otrzymują odpowiedź tej treści: „Spełniając przyjemne dla mnie życzenie Pana Hrabiego (Pani Hrabiny), mam zaszczyt donieść, iż protegowany pan N. otrzymał posadę korespondenta”. I szczerę-

śliwy śmiertelnik dostał się nareszoie, jakby do nieba, do kantoru barona Abersznytza, gdzie też cały zarząd finansowo-administracyjny uorganizował się mniej więcej w podobny sposób.

Czynność w kantorze jest wielce rozgałęziona, ma się tu do czynienia z działami: lasów, hodowli bydła, cukrowni, depozytów i t. d. Cyrkulacya zaś całkowitej działalności kantorowej skupia się około jednego serdecznego centrum, zwanego kasą. Jak się co robi, o to mniejsza; ale główna rzecz w tem leży,—co jest w kasie?

Kasa jest to ostateczny aparat celowych działań i obrotów finansami,—aparat ciekawy a powabny, złożony po części z drzewa i żelaza, z ludzkiego uorganizowanego ciała, a po części z papieru i atramentu.

Przed wejściem do lokalu, przychodziień czyta skromny napis: *Comptoir*. Wszedłszy wewnątrz, ma się znowu przed oczyma inny napis: *Kasa*. Jest to w kantorze miejscowość, zabezpieczona nietylko przed ludzkiemi kończynami ruchowemi za pomocą dębowej śoiany i drucianej siatki, ale także

obwarowana przed pożądlivością szlachetnego zmysłu wzroku za pomocą szybki ze szkła matowego, która się w danym razie zasuwa lub odsuwa. Tu dopiero, wobec kasy takiej, sprawdzasz owo sławne: *homo homini lupus*.

Jeżeliś, czytelniku, miał kiedykolwiek do czynienia z kantorową kasą, to przez uchyloną szybkę musiałeś też widzieć siedzącego na stołku człowieka, zwanego kasyerem. Siedzi on nieruchomy, jak mumia; przed nim leżą starannie ułożone paczki banknotów, owinięte w białe etykiety z napisami: 100, lub: 1000. Kasyer ma zwykle białe i cienkie palce, a w palcach—zmysł dotyku, rozwinięty wyżej, aniżeli węch u wyźła. Wzrok jego jest bystry, poważny, a ucho—połączone w nowszych czasach z pryncypałem za pomocą telefonu. Kasyer to nadaje ruch zrealizowanym sokom życia: on je przyjmuje i wyzwala. Przed nim stoi na stole białe naczynie z wodą i gąbką, ażeby podwyższać i odświeżać ciągle wyczerpującą się energię dotyku w nerwowych zakończeniach palców. Głowa kasyera — to niby szafa z cy-

frami, które skaczą mu po mózgu w dzień i w nocy, budzą go i usypiają. On jeden zna fałszywe pięciorublówki, dziesięciorublówki i sturublówki, ocenia je jednym rzutem oka, jednym dotknięciem palców. I wtedy mówi krótko a węzłowato: „To zły papierek!” — W ogóle, kasyer mówi mało, mało myśli, nic nie czuje i dlatego przedstawia się bardzo poważnie. On rachuje tylko, układa, porządkuje, chowa, wydaje i zapisuje. Po za kasyerem, za jego plecami stoi naczynie dziwnej architektury, trochę podobne do szopki, a trochę do świątyni Jowisza Kapitolińskiego, pomalowane na ciemno — zwykle orzechowo. W czasie czynności, drzwi tego przybytku są otwarte, aby żadne przeszkody nie tamowały procesu finansowej cyrkulacji. Takie na rozcież otwarcie kasy robi miłe wrażenie w duszy widza: „Co tu wejdziesz, może jeszcze przejść do kieszeni naszej”. Jest to kasa ogniotrwała systemu Wertheima, rodzaj świątyni dla bóstwa wieku!

Kasyerem w kantorze barona Abersznytą jest pan Nataniel Schnauz, człowiek młody

jeszcze, a już bardzo seryo, indywiduum wielce obiecujące w interesie. Zaufanie pryncypała posiadał on całkowicie w drodze bezprzykładnej pilności i nadzwyczajnego zamiłowania w swym fachu. Na tę ostatnią onotę pan baron kładł zawsze szczególniejszy nacisk. Jeżeli któryś z jego urzędników nie przepisał porządnie referatu, albo—czego Boże broń—splamił i podskrobał, ohooby nieznacznie, a baron to spostrzegł, wtedy winny bywał wzywany i gromiony z całą powagą: — „Lekceważysz pan swoje obowiązki i nie masz żadnego zamiłowania w pracy!”

Co innego Schnauz, ten nie lekcewał obowiązków, a w pracy miał takie zamiłowanie, iż wtedy nawet, gdy ciałem opuścił miejsce swoje w kantorze, duch jego przebywał tam jednak. Kantorowe czynności rozpoczynały się o godzinie dziewiątej rano, a koniec ich przypadał punkt na trzecią po południu; i wtenczas zamykano naprzód kasę na mały kluczyk, który nieskazitelny Schnauz zabierał ze sobą, podczas gdy duplikat kluczyka sam pan baron nosił przy

brelokach zegarka. Następnie zapierano wchodowe żelazne drzwi kantoru ryglami a zasuwami ogromnych rozmiarów i zamykano na dwa olbrzymie klucze. Za temi drzwiami były jeszcze drugie drzwi dębowe, imponująco grube oraz wytrzymałe. Pomiedzy drzwiami żelaznemi a dębowemi, przed wejściem do kantoru, znajdował się rodzaj oiasnego i ciemnego przedpokoju, gdzie miał obowiązek sypiać niejaki Onufry Drzemalski, stróż bezpieczeństwa i woźny kantoru. On to, zamknięty tutaj na noc, stanowił jakoby trzecie drzwi żywe, przez które z konieczności musiałby przebierać się wszelki złodziej, wykonywający zamach na własność domu Abersznytów. Grube mury starego domu i okna, zaopatrzone w mocne żelazne kraty, kończyły wreszcie obwarowanie tej istnej fortecy. Aby się tutaj przedostać, potrzeba było ohyba użyć podkopów lub dział obłęzniczych. Tylko od wewnątrz kantor miał komunikacyę z gabinetem pana barona na pierwszym piętrze. Ale połączenie to było również bardzo niedostępne, bo naprzód — do gabinetu barona należało przechodzić

przez jego sypialnię, z gabinetu na schody wychodziły drzwi mocno zaryglowane i na klucz zamykane, a po przebyciu schodów na dole spotykałeś jeszcze jedne drzwi, wielce przezornie i celowo urządzone. Klucze od dwojga tych drzwi zamykał pan pryncypał u siebie w biurku, chowając je w jednej z tajnych kryjówek, tylko jemu znanych. Misterny kluczyk od biurka, prawdziwy majstersztyk kunsztu ślusarskiego, mający kształt parasolki, nosił pan baron zawieszony u dewizki zegarka razem z kluczykiem od kasy ogniotrwałej, w gęstej kupce breloków.

Majątek więc, albo — jak zwykł był mawiać baron — własność Abersznytów, miała zupełne zabezpieczenie już w drodze prywatnych usiłowań, nie mówiąc o zabezpieczeniach publicznych.

III.

Kasyer Schnauz, pomimo całej pozytyw-
ności kasowej, zakochał się jednak i po-
ślubił pannę Ludwikę Spritzkuchen. Była
to osoba niska, biała i różowa, pulchna
i okrągłutka, córka rodziców, trudniących
się sprzedażą norymberszczyzny przy ulicy
Żabiej. Być może, iż z powodu pochodzenia—
a może i z innej przyczyny — Ludwika ko-
chała się w drobiazgach: we wstążeczkach,
paciorkach, guziczkach, koronkach, tiuli-
kach, broszkach, i t. d. Ideałem zaś jej życia
były brylanty oraz biżuterye. Nie mogła
ona wyobrazić sobie kobiety, należącej do
lepszyc sfer towarzyskich, bez złotej bran-
solety, brylantowych kolczyków, bez zegar-
ka i pierścionka. I Schnauz podzielał te
upodobania żony, jako człowiek, mający do
czynienia ze złotem lub z papierami, wartu-
jącymi ściśle tyle co złoto. On także miał

upodobanie w biżuteriach. Już przed ożenkiem, konkury albo zaloty, kosztowały pana kasyera kilka pudełek wartościowych, zakupionych u jubilera. Nawiasem mówiąc, żeniaczka zawiiodła Schnauza; uważał on bowiem ojca swej żony, jako gruntownie zamożnego kupca, tymczasem okazało się, że człowiek ów resztkami gonił. Skromna wyprawa jedynaczki Ludwiki, oto wszystko, na co się mógł zdobyć dom Spritzkuchenów.

Schnauzowie zamieszkali przy ulicy Chmielnej, zajmując cztery pokoje z kuchnią i przedpokojem, gdyż — zdaniem kasyera — „człowiek, mający do czynienia z pieniędzmi, powinien przedewszystkiem *pięknie* mieszkać, a *dobrze* żyć”. Innem jego skrzydlatem powiedzeniem było: „Na moim własnym organizmie przecież nie będę robił ekonomii”. Rzecz prosta, bo od czegoż są cudze organizmy? Młodzi małżonkowie zajmowali tedy lokal, kosztujący 600 rs. rocznie. Utrzymanie, opłata służących i opał, wynosiły około 1,500 rs. rocznie; ubranie zaś obojga Schnauzów, jakoteż przyjemności i przyozdabianie domu — także około 1,500 rs. rocznie. Nor-



malne przeto wydatki roczne tej pary ludzi, stanowiły mniej więcej sumę 3,600 rs. Że zaś Schnauz pobierał stałej pensyi 2,000 rs. na rok, a gratyfikacyi za akuratność i wierność otrzymywał około 400 rs., więc brakowało mu jeszcze prawie 1,200 rs., aby można było wyżyć w sposób naturalny. Jeżeli komu brakuje pieniędzy, zwykł ich pożyczać; gdy się ma atoli cudze pieniądze pod ręką, można ich czasem użyć, zanim się innych pożyczczy. I od tego punktu właśnie rozpoczyna się sztuczny sposób życia.

— Moja Ludko, pokaż mi też ten pierścionek, który ci ostatnim razem kupiłem! — Mawiał często Schnautz, a żona czyniła zadosyć życzeniu męża. Kasyer wpatrywał się wtedy w pierścionek z upodobaniem, chwalił go, cmokał. Gdy skończył obserwację, brała pierścionek w ręce żona i znowu się weń wpatrywała; poczem wkładała go na palec, zaciskała rękę, aby się klejnot lepiej wydawał i znowu patrzyła na pierścionek z lubością, mówiąc:

— Zkąd się ty, Natanku, nauczyłeś takiego dystyngowanego gustu?

Wieczorem w zimie, odwiedzali państwo Schnauzowie teatr, a po teatrze wstępowali na kolację do gabineciku u Bocqueta, Stępkowskiego, lub Zięciakiewicza.

W lecie znowu o zmierzchu, brali powóz i robili wycieczkę do Marcelina.

Taki tryb życia nie przedstawia nic nadzwyczajnego, a jednak niezawsze godzi się żyć w podobny sposób. Wszystko sprowadza się tu do pytania: Zkąd Schnauz brał owe 1,200 rs. na wyrównanie życiowego rachunku?

Każdy finansista, jak u nas, jest sybarytą—dobrze je, pije, ubiera się i bawi, zresztą przywyka do tego najzupełniej. Człowiek taki lekceważy pieniądze, które łatwo zarabia; on przywykł do przerzucania w rękach swoich wielkich sum i patrzy oiągle na niebezpieczne ryzyko. Dla niego życie niema celów innych, jedno gotówkowe saldo. Ze względu na psychologię, operujący pieniędzmi i namiętny szuler, stanowią jeden i ten sam gatunek.

Pewnego dnia pożyczył sobie Schnauz z kasy pryncypała 100 rubli. Ale kiedy na-

zajutrz przeliczył gotówkę w kasie, brakowało 150 rubli. Przeliczył raz jeszcze i zawsze brakowało. Łamał sobie głowę i nie mógł znaleźć 50 rubli. Przybył do domu, rozmyślał podczas obiadu, zastanawiał się, a nie był w stanie wyrozumieć zaniku owych 50 rubli z kasy. Przespawszy się, był spokojniejszy i pomyślał:

— Co tam! Na pięćdziesięciu rublach świat nie stoi. Zresztą, znajdą się jeszcze zapewne.

I poszedł z żoną do teatru, a po teatrze— na kolację.

Na drugi dzień, kasyer wziął się do przeliczenia gotówki i znalazł w kasie brak nie 150 rubli — jak wczoraj — ale 200 rubli.

— Co u diabła! — zawołał, uderzając się ręką w kolano. — Oczy mię chyba mylą! Czy wczoraj, czy dziś, popełniłem błąd w przeliczeniu?

Liczył więc nanowo, uważnie, dokładnie i przekonał się szczerze, że istotnie brakuje 200 rubli.

Po skończonej pracy, znowu przybył do domu, znowu jadł obiad, podobnie jak wczoraj.

raj, a 200 rubli stały mu na oczach nieustannie. Wieczorem, udał się z żoną do teatru; ale na scenie mało co widział, liczba 200 zajmowała całą uwagę jego. Po skończonej sztuce, Schnauzowie poszli na kolację do Bocqueta, lecz on jadł jakoś bez smaku.

— Wiesz co, Natanku — rzekła żona — widząc cię takim posępnym dzisiaj i wczoraj, przyszło mi do głowy, że się nudzisz. Czybyśmy nie wyprawili u siebie jakiego skromnego wieczorku?... Rozerwałbyś się. Wszak to karnawał!

— Czemu nie! — odparł Schnautz. — Dziś jest środa, rozpisz jutro zaproszenia na sobotę.

I stało się tak. Natan poszedł do bióra, a Ludwika rozpisała zaproszenia na sobotę.

We czwartek, Schnauz rozpoczął czynność w kancerze od przeliczenia kasy.

Brakowało 250 rubli. Kasyer osłupiał.

— To już przechodzi ludzkie pojęcie! — mruzczał do siebie. — Co tu zrobić? Widocznie ktoś kradnie. Ale kto?...

I myślą począł przebiegać ludzi, mających bliższe stosunki z kasą. Wpadł na Onufrego,

woźnego. „Lecz jakżeby się Onufry mógł dostać do kantoru przez drzwi żelazne? A gdyby się nawet dostał, jakżeby mógł otworzyć ogniotrwałą i złodziejotrwałą kasę?... Takie kasy mogą tylko kasyerzy sami okradać. Zobaczymy, czy przypadkiem kraty w oknie nie są nadwerężone?

Kasyer obszedł kantor dokoła, próbując wytrzymałości krat żelaznych.

— Co się pan tak przyglądasz oknom? — zapytał jeden z urzędników.

— Eh, nic! Mam swoje powody. — Od-rzekł Schnauz, powracając na uprzywilejowane miejsce.

— Kto wie jednak, czy Onufry niema dorobionego kluczyka? — pomyślał znowu. Starannie obejrzał dokoła kasę — zamek, przymierzył kluczyk, a potem poszedł do Onufrego.

— Słuchajno, Onufry! — rzekł z góry i niespodziewanie, wpatrując się bacznie woźnemu w oczy. — Czy tu kto do kasy nie zachodzi?...

Onufry spojrział na kasyera uważnie i podejrzliwie, a niez mieszanym bynajmniej zapytaniem, rzekł tajemniczo:

— Oj, panie kasyerze! Tu nie do wytrzymania w nocy. Coś okrutnie straszy i straszy.

— Jak to straszy?—zawołał Schnauz ożywiony.—Mów no wyraźnie! Kto, jak, gdzie?

— Niech się pan nie gorącuje! — rzecze Onufry. — No, straszy! Powiadam panu wyraźnie, że straszy tutaj, w kantorze! Duchy jakieś chodzą. Możebym już świata nie widział, gdyby nie pacierze, które po całych nocach odmawiam.

— Głupis stary! — krzyknął kasyer. — To nie są zarty! W strachy tu nikt nie uwierzy! Gadaj mi zaraz, kto się do kasy dobiera! Wyglądasz mi na oszusta!...

Onufry popatrzył zimno na Schnauza, a potem spokojnym, miarowym głosem tak przemówił:

— Mam przeszło sześćdziesiąt lat i dotąd nikt mię jeszcze nie nazwał głupcem ani oszustem. Dopiero pan jesteś tak dla mnie łaskaw. Przecie ja panu w strachy nie każe wierzyć; wierz lub nie wierz, jak ci się podoba; ale daj pokój Drzemalskiemu! Cóż to znowu za napaść?... Czy pan myślisz, że ja się do kasy zakradam?... Tfu, do kaduka

ciężkiego! — Tu, splunął Onufry gwałtownie, a zmierzwszy kasyera wzrokiem obrażonego, oddalił się powolnym krokiem.

— Dalibóg, ten człowiek nie robi na mnie wrażenia takiego, co kasę okrada! — pomyślał Schnauz. — Ale ooby to były za strachy, o których on baje?... Ej, czy nie jestem na tropie?... A nuż to młode baroniątko?...

I tu błysła kasyerowi w głowie jakaś myśl bardzo szczęśliwa: „Albo baronowicz, albo baronowa, — jedno z dwojga, bo przecież chyba nie baron; ten nie potrzebuje okradać własnej kasy.

Schnauz, wpadłszy raz na wyraźniejszy trop w rozumowaniu, był coraz pewniejszy swego.

— Któreś z nich podchodzi kasę... Lecz cicho sza! Ja ich urządzę!... A jak już będzie bardzo źle, zrobię gwałt — skandal... Przecież baron nie wytoczy śledztwa, gdy będzie ochodził o żonę, lub o syna.

Tym razem kasyer uspokoił się, załatwił swoje czynności, odnotował wszystko porządnie i był bardzo zadowolniony ze stanu rzeczy. Jeżeli kradnie baronowa lub baro-

nowicz, to może kraść i on na ich rachunek, a to bez żadnego skrupułu; bo jeżeli sprawa taka wyjdzie na wierzch, któż komu zdoła dowieść, ile ukradł.

— Ale czy tylko baronowicz lub baronowa? — myślał. — Zastanówmy się dobrze!

Tu kasyer począł rozbierać i rozważać w swojej mądrej głowie. Rezultaty owej rozwagi były widać bardzo pomyślne, bo się uśmiechał sam do siebie. „Niezawodnie on, baronowicz!... Mówiono mi, że traci, hula, że utrzymuje jakąś kobietę... To kosztuje dyabelnie więcej, niż marne trzysta rubli miesięcznie, które, w skutek polecenia barona wypłacam Adolfowi regularnie z kasy. To go musi kosztować przynajmniej jakie sześćset rubli na miesiąc. Mam go!... Dobiera się młodzieniec do kluczyków ojca i odbywa po nocy rewizyę w kasie. Między nami mówiąc, co on ma robić, jeżeli mu pieniędzy potrzeba?... Wszystko to przecież jego własnością będzie. Właściwie to nawet nie jest kradzież żadna, lecz po prostu antycypowanie praw spadkowych. Nie idzie zatem, abym ja nie zarobił... Mądrzyście wy,

ale i ja mam rozum!... Nie każdemu się zdarzy taka gratka w życiu”.

Tym razem nasz kasyer opuszczał kasę z czystym sumieniem, był wesół i zadowolony. Wychodząc, wziął naprzód 200 rubli i ulokował w kieszeni. Potem pomyślał: „Cóż sobie mam załować?” I dołożył jeszcze jedną paczkę z etykietą, oznaczoną napisem — *sto*. Po cichu zaś mruknął do siebie: „Brakuje teraz w kasie 550 rubli”.

V.

Wyszędłszy z bióra, Schnauz udał się prosto do jubilera i kupił dla siebie piękny pierścionek z turkusem za 60 rubli, dla żony zaś, za drugie 60 rubli, nabył gustowny medalionik na szyję, wysadzany raucikami i perełkami.

Uszczęśliwiona Ludwika, z radości pocałowała męża w rękę. Potem oboje przyglądali się to pierścionkowi, to medalionikowi.

— A jakże będzie ze sobotą? — pytała Ludwika. — Kazalesz gości zaprosić, więc zaprosiłam.

— No, to i dobrze zrobiłaś. — Odrzekł kasyer; poczem wydobyl portmonetę, wyjął z niej paczkę banknotów i rzekł:

— Masz tu, Ludwiko, sto rubli na wydatki. Urządź wszystko przyzwoicie! Służbę i wino ja sam biorę na siebie.

— Ho, ho! Jakież to hojny jest mój pan

dzisiaj! — zawołała Ludwika, podskakując na jednej nodze. — Aleś ty, rybko, pewno głodny?... A ja z radości zapomniałam o obiedzie.

W piątek, punktualnie o dziewiątej, wszedł Schnauz do kantoru, zdjął palto i powiesił je na wieszadle, postawił cylinder na wierzchu kasy ogniotrwałej, poczem zaczął przeliczać gotówkę. Okazał się brak 650 rubli.

— Oho, panicz zaczyna się lansować! Postąpił dziś na setkę. Jaki on głupi, czy myśli, że się tu tego nie spostrzeża?... Widząc, iż poprzednie kradzieże nie wywołują alarmu, pozwala sobie... Dobrze, dobrze, panie Adolffie! Rób tak dalej!

I znowu pan kasyer zakończył biurową czynność o godzinie trzeciej, a wychodząc do domu, wziął sobie na pamiątkę 200 rubli, w myśli zaś powiedział: „850 rubli”.

W sobotę brakowało w kasie okrągłe 1,000 rubli, z pożyczką zaś kasyera—1,200. Był to więc prawdziwie złodziejski wyścig, w którym nocnego złodzieja pragnął przewyższyć złodziej dzienny.

Dnia tego Schnauz, pragnąc uświetnić za-

bawę wieczorną, zakupił różne gatunki win, a nie zapomniał i o dziesięciu butelkach toastowego Monopolu.

Wieczór w domu Schnauzów odbył się z całą świetnością. Sutą kolację podano po północy, około godziny pierwszej, a bawiono się wybornie aż do rana. Na zabawie tej znajdowali się także koledzy kasyera, urzędnicy z kantoru.

Podczas powrotu gości do domów, jaki taki, prowadząc żonę pod rękę przez oszczędność, aby nie płacić dorożki, mówił do swej połowicy:

— Szczęśliwy Schnauz! Ożenił się bogato! Jaki dostatek u nich w domu!

— Czy widziałeś, mój kochany, jakie ona ma prześliczne biżuterye? — mówiła połowica.

— Cóż chcesz, moje dziecko, ojciec jej taki bogaty kupiec, siedzi na pieniądzach! — odpowiedział małżonek.

W niedzielę do południa Schnauzowie spali. Około pierwszej pili herbatę, przy której zużywano pozostały z balu pasztet, kawior, jakoteż — ciasta i pączki. Schnau-

zowa opowiadała mężowi, jakie wrażenie wywierała jej toaleta, a z kolei obmawiała toalety dam, przybyłych w gościnę do jej domu.

W poniedziałek kasyer przekonał się, że jego kasowy współzawodnik nie zaspął gruszek w popiele. Tą razą brakowało 1,500 rubli.

— Cóż u dyabła! To i mnie się należy za dwa dni podwójna poroya. — Pomyślał Schnauz i bez najmniejszego skrupułu schował do kieszeni 500 rubli, notując w myśli: „2,000”.

W mieszkaniu Schnauzów, przy ulicy Chmielnej, wzrastał dobrobyt z dniem każdym. Ludwika ubierała się w biżuterję, nawet po domu chodząc. Na ścianach poczęły znikać oleodruki i fotografie, a ukazywały się oryginalne obrazki; do salonu zawitały dwa piękne, wielkich rozmiarów zwierciadła; usunięto stąd dawne meble a wprowadzono nowe, w stylu antycznym, najmodniej pokryte. Przytem cały salon wysłano dywanami i do usług przyjęto lokaja. Schnauz zawsze lubił palić dobre cygara, ale teraz palił tylko bardzo dobre.

I tak przyjemnie schodziło życie obojgu małżonkom. On się nie zastanawiał nad tem, w jaki sposób żyje; czemużby się ona miała zastanawiać.

Jednakże, w miarę jak rosła suma skradziona w kasie, Schnauz stawał się coraz niespokojniejszy. Ktokolwiekby drugi kradł, zawsze fakt był faktem, że i kasyer kradł także; on tał cudzą kradzież, aby utaić swoją własną. A nuż złodziejem docynym nie jest pan Adolf, baronowicz? Nuż baron zechce prowadzić śledztwo i poszukiwać złodziei w ogóle?... Zawsze kasyer będzie tu winien, bo on kradzież tał, więc miał zapewne powód tajenia, widocznie sam kradł. A może nawet cała wina kradzieży jemu jedynie przyznana będzie. Przed wyobraźnią kasyera ukazywała się nieraz jakaś ponura postać sędziego śledczego, gniewna fizygnomia barona, a nawet więzienie i kajdany. Szybko starał on się pozbyć tych natrętnych myśli, świadczących wyraźnie, że kraso nie można nigdy z czystym sumieniem. A innym znowu razem zawładnęła nim pewna determinacya cynicznego złodzieja, co

to spokojnie wszystkiego się spodziewa,
mówiąc:

— Mam wisieć za jedną nogę, niech wiszę
za obie!

I kradł dalej własność swojego pryncy-
pała.

Czytelnik będzie mógł powziąć wyobra-
zenie o codziennych rozmiarach tej podwój-
nej kradzieży, popełnianej w kantorze ba-
rona Abersznytza, jeśli mu tu przedstawimy
ostateczny jej rezultat: W ciągu dwóch lat
funkcyonowania Schnauza na posadzie ka-
syera, deficyt wzrósł do sumy 18,000 rubli,
jakkolwiek w pierwszym roku jego kasyer-
stwa żadna kradzież nie miała miejsca.

Porzućmy na chwilę kasyera i kantor,
a zajrzyjmy do apartamentów okradanego
pryncypała.

W gabinecie pani baronowej, prawie na
środku pokoju, stał marszałek Zabioki z za-
łożonemi w tył rękoma i z tym wyrazem
twarzy, który u człowieka zdradza nieza-
chwianą wiarę, że jest chętnie słuchanym.
Była to piękna postać dosyć już sędziwego,
ale krzepkiego jeszcze starca. Białe jak śnieg

włosy nosił zaczesane ze staroświecka; otwarte oblicze i czoło, poorane głębokimi bruzdami, jakoteż wyprostowana postać, budziły w widzu pewien popęd do uszanowania starości.

— Proszę pani baronowej, możeby lepiej było, żeby się pan Adolf ożenił wcześniej, zamiast zużywać młode siły, niszczyć zdrowie i pieniądze.

— Ależ, zlituj się, mój Zabicki, co ty mówisz? Adolf jest jeszcze dzieckiem, toż on dopiero zaczął dwudziesty rok życia. Prawda, że niezwykle wyrósł, że wygląda jak dojrzały mężczyzna; ale zawsze to dzieciuch jeszcze...

Wtem do drzwi gabinetu ktoś zapukał. Do drzwi tych mógł pukać tylko sam pan baron, baronowicz Adolf, lub baronówna Eugenia; baronowa przeto rzekła nieco podniesionym głosem: „Entrez!”

I niebawem we drzwiach ukazał się pan baron, co widząc Zabicki, natychmiast wyszedł.

— Wyobraź sobie, Czesiu — rzekła baronowa — Zabicki mię tu właśnie przekonywał o gwałtownej potrzebie ożenienia Adolfa.

— Poczciwy starzec, ale głupi! — mówił baron od niechcenia.

— Zwracał mi uwagę— kończyła baronowa — że syn nasz robi dużo hałasu w mieście, że traci pieniądze, że ma nawet podejrzane stosunki z kobietami.

— No, to i oó z tego?—zawołał baron.— Wszyscyśmy byli młodymi! Po części wiem o postępowaniu Adolfa. Pieniędzy on tam wiele nie traci. Jak na Abersznytę, bawi się dosyć skromnie. Patrzę więc na to wszystko przez szpary.

— Podobno zaciągnął znaczne długi? — Rzekała znowu baronowa.

— Długi?... Znaczne?... — zawołał baron zmienionym nieco głosem. — Wątpię! Adolf jest oszczędny, od trzech lat wyznaczam mu pensyi trzysta rubli miesięcznie, a nigdy się nie upomniał o podwyższenie. Tem lepiej dla niego, kiedyś będzie miał większy majątek. Mogę powiedzieć, że i ja w młodości bawiłem się dosyć oszczędnie.

— Więc sądzisz, że Zabicki przesadza?

— A naturalnie! — odparł baron.

— Ja się trochę przestraszyłam, bo przecież jestem matką... — mówiła baronowa.

— Tak, ale jesteś tem samem kobietą, moja Lucynko, i mniej znasz nasze mężkie stanowisko oraz wymagania świata od bogatego i dobrze urodzonego młodzieńca. Abersznyt z konieczności musi mieć szerokie stosunki, musi czasem zaimponować, wystąpić. Noblesse oblige! Zabicki, z przywiązania do naszej rodziny, gotów się zbrodni dopuścić, nastraszył cię; ale ja inaczej patrzę na takie rzeczy!

— Zawsze ja lubię tego Zabickiego; jest to entuzyasta uzcziwości i obowiązku! — powiedziała baronowa.

— A w dodatku osieł pierwszorzędnny! — rzekł z naciskiem baron. — Znoszę jego nudną dla mnie opiekę przez wzgląd, że go tak bardzo szanowali rodzice; lecz doprawdy dużo mię to kosztuje, mam go dotąd! — I tu pan baron pokazał palcem na gardło. — Stary zmantyczał, włóczy mi się w nocy po pokoju sypialnym, po gabinecie i ciągle dręczy mię pytaniami o stan zdrowia. Cóż u dyabła, przecież już od jakiegoś czasu jestem zupełnie zdrowy; zresztą od tego mam lekarza!

— Nie bierz mu tego za złe, Czesiu, on to robi dla mojej spokojności. Lekarz zawsze powiada, że ci się strzedz należy, że w organizmie jest wada, że ruchy serca nie są w porządku. Prosiłam Zabickiego, żeby czuwał nad tobą; może w nocy przyjść atak. Ty czasem musisz tak późno wracać do domu!... Dobry starzec, z mojego powodu może się nieraz naraża tobie. Przebacz mu więc, Czesławie! — Baronowa była wzruszona i zrobiła przy tych słowach nadzwyczajnie tkliwy wyraz fizyognomii, co za młodych lat wywierało zwykle magiczny wpływ na jej małżonka.

— No, no!... Już wiem, Lucynko, że to twoja sprawka i dlatego też nie staremu nie mówię, cierpliwie znoszę prześladowanie. A prześladowaniem śmiało to nazwać mogę, bo dosyć, żebym się na łóżku przewrócił, albo przez sen powiedział jakie słowo, a już mam Zabickiego w pokoju. Znosi mi nieraz całą homeopatyczną aptekę i gwałtem narzuca leki.

— Zacny staruszek!... — zawołała baronowa w uniesieniu. — I pomaga ci to, mój drogi! Wszak zwykle po tych lekach masz

sen dobry? Oh! ja się lękam bezsennych nocy u ciebie!

— To prawda, że czasem sen istotnie jest mi potrzebny.

— A widzisz! Więc się nie uskarżaj tak bardzo na Zabickiego! — mówiła baronowa coraz pieszczotliwiej. — Ale, ale!... Wiesz też, Czesiu, co kiedyś powiedziała hrabina Złotorzecka, widząc Zabickiego?

— Cóż takiego? — zapytał baron dosyć obojętnie.

— Oto, że tak pięknej fizygnomii starca, jak nasz marszałek, nie widziała dawno; że on przypomina jednego z członków angielskiego parlamentu, lorda — bodaj czy nie Mackintosh'a — którego poznała kiedyś w Londynie.

— To bardzo być może! — rzekł baron. — Istotnie, Zabicki ma typowo piękną głowę starca. Trzeba kiedy kazać zrobić jego portret.

Nawiasem mówiąc, baron udawał znawcę malarstwa i, jako bogacz, uchodził za projektora sztuk pięknych.

V.

Pan baron wyszedł od żony i zamyślał odwiedzić córkę, kiedy mu drogę zastąpił Zabicki, oznajmiając, że dysponent z kantoru chce mówić ze samym panem w jakimś bardzo nagłym interesie.

— Niech zaczeka! — rzekł baron krótko i stanowczo.

— Jaśnie wielmożny panie baronie! Urzędnik prosi niezwłocznie, powiada, że interes jest nadzwyczajnie pilny, ważny i niecierpiący zwłoki.—Odpowiedział marszałek.

Zgniewało to widać barona, bo mruknął coś i spiesznym krokiem szedł do swego gabinetu, gdzie wszedłszy, rzucił surowe spojrzenie na oczekującego urzędnika, mówiąc:

— Cóż tam znowu takiego? Masz mi pan opowiedzieć *Mordgeschichte*, czy co, że ci tak strasznie pilno, aby mię niepokoić?

— Jeżeli to nie jest historia morderstwa — odrzekł dysponent spokojnie — to zawsze sprawa niezmiernie ważna, a obchodząca daną barona znacznie więcej, aniżeli jaka-bądź *Mordgeschichte*. Bo historia, którą mam właśnie opowiedzieć — ciągnął dalej urzędnik — ma bardzo blizki związek z ruiną domu barona Abersznytta, jeżeli się przedwczasnie złemu nie zaradzi!

— Więc mówże pan czempredzej! Co to ma znaczyć?... — Krzyknął baron zbladły i przerażony.

— Kasę okradziono! — odparł urzędnik.

— Kasę?... Kasę?... Co pan mówisz? W jaki sposób?... Gdzie jest kasyer? Czy Schnauz uciekł? — Wykrzykiwał baron, zzieleniały prawie i miotający się w najwyższym niepokoju. — To byó nie może.

— Kasyer jest, ale pieniędzy brakuje! — rzekł znowu dysponent.

— Jakto, wszystkich?... Czy i depozytów?... — ryknął grobowym głosem baron, wspomniawszy sobie, że złożone u niego depozyty wynoszą około miliona rubli.

— Depozytów nie tknięto; ale brak w kasie wynosi okrągłe osmnaście tysięcy rubli.

— Straszne rzeczy! Straszne rzeczy!... — powtarzał baron, chociaż wistocie odetchnął teraz swobodniej i już mniej przerażony badał urzędnika, pytając: — Więc któż mię okradł? Mów pan wyraźniej!

— Ja nie wiem kto! Kasyer jest w biurze, niech go pan baron wezwie; sprawa się wyjaśni. Ja zdaję tylko sprawę z tego, co się stało. Śledztwo musi wykryć winowajcę.

Przy tych słowach dysponent uklonił się i wyszedł, pozostawiając pryncypała na łup niepewności i rozdrażnienia. Tuż pod drzwiami gabinetu stał Zabicki, baczny na wszystko, co się działo wewnątrz. Baron zadzwonił i marszałek wszedł natychmiast ze zwykłą sobie powagą.

— Mój Zabicki, niech tu natychmiast przyjdzie kasyer!

Za małą chwilę stanął przed baronem Schnauz, był blady, pomieszany, trząsł się prawie ze strachu.

— Co znaczy kradzież w kasie? — zapy-

tał Abersznyt głosem stanowczym, tłumiąc w sobie wybuch wściekłości.

— Jaśnie wielmożny panie! Paniel!... — zawołał kasyer, rzucając się do nóg barona. — Jestem niewinny, jak honor... Kocham!... Ktoś tu kradnie, ktoś domowy... Jak Boga Kocham, ktoś kradnie... Niech mi pan baron wierzy!... Jest ktoś taki... Onufry powiada, że ktoś nocą do kantoru wchodzi, że go straszyl!... To nie ja, panie baronie, nie ja!... Jestem niewinny! — wrzeszczał Schnauz, chcąc zagłuszyć krzykiem swoim barona i własne sumienie.

— Cóż to znowu za komedia, panie Schnauz? — krzyknął baron, odskakując od wijącego się kasyera. — Mówisz, jak waryat, a ja cię miałem zawsze za człowieka rozsądnego! Czyś pan skradł pieniądze z kasy, czy je ukradł kto inny? Mów kategorycznie, bez żadnych ogródek i afektacyj!

— Czy ja kradłem... Boże drogi!... Panie baronie!... Ktoś kradł po sto, po trzysta, po pięćset i po tysiąc rubli... Jabym nigdy się nie odważył... Okradano nas... To jest... Właściwie okradano... Kasę pana barona...

Okradano ją ciągle... — Mówił Schnauz pi-skliwym i płaczącym głosem, opuściwszy głowę na piersi i patrząc w ziemię.

— Jakto?... Więc mnie okradano codzien-nie od jakiegoś czasu, a pan, kasyer, stra-znik mojej własności, obdarzony mojem nie-graniczonem zaufaniem, — pan miłozależ?... Nie dałeś mi znać o tem wszystkim? Eee, to czyste kpiny, mój kochanku! Nie złapiesz starego wróbla na plewy! Wymyślasz sobie zabawną dykteryjkę, aby mię zbyć; znamy się na takich sztuczках! Wnet ci pokażę, iż majątku Abersznytą nie można szarpać bezkarnie!

— Niech mię Bóg ciężko skarze... Nie ja kradłem! — krzyknął kasyer, odzyskując odwagę i wspomniawszy sobie na tajemni-czość znikania pieniędzy z kasy. — Muszę wyznać, choćbym miał zginąć, że kradzieży pieniędzy dopuszczał się ktoś z domu pana barona... Ktoś blizki! Ja tylko nie chciałem robić skandalu, uważałem sobie za obowią-zek milczeć w takim razie.

Tu baron zamyslił się nieco; ale wnet gwałtownym krokiem podszedł do kasyera,

zmierzył go surowo od stóp do głów i piorunującym głosem krzyknął:

— Masz na kogo podejrzenie?... Mów!

— Ja nie wiem, nie wiem... — jękał się zakłopotany Schnauz. — Być może, iż... Powiadają wszyscy, że pan Adolf traci dużo pieniędzy, że... że utrzymuje kobiety...

— Co?... Co? — wrzasnął rozwścieczony baron, trzęsąc się na całym ciele. — I ty śmiesz, tu przy mnie, na mego syna... Ty... ty, ty łotrze, złodzieju!... Ty źmijo!

Baron stracił prawie przytomność, ryczał w zapalczywości, ślina pokryła mu usta, tupał nogami, bił w stół pięścią i rzucał straszne spojrzenia na zgnębnego kasyera.

— Za drzwi!... Precz!... Zdaj mi natychmiast kasę! Nikozemniku! — wołał Abersznyt, wskazując Schnauzowi palcem na drzwi; a gdy kasyer zwrócił się ku drzwiom, zziąjany i sapiący baron, podążył za nim do kantoru.

Był to istotnie sądny dzień w kantorze. Abersznyt o mało nie dostał apopleksyi. Schnauz niebawem zdał kasę i brakowało okrągłe 18,000 rs.

— Mei panowie! — rzekł wreszcie do swych urzędników nieco już uspokojony baron. — Powiedzcie mi, co powinienem zrobić z człowiekiem, który nadużył mego zaufania w tak niegodny sposób. Dawno mi już mówiono, że Schnauz żyje nad stan; nie uwierzyłem, bo zupełnie zaufałem temu człowiekowi. Zawiódł mię, zdradził, okradł. Powiedzcież teraz, na co on zasługuje; bądźcie sędziami czyny swego kolegi!

Wśród zgromadzonych urzędników panowało uroczyste milczenie. Nareszcie jeden z nich tak się odezwał:

— To, że Schnauz żyje nad stan, nie potępia go wcale, panie baronie; wziął bowiem za żonę majątek, a każdemu, kto ma na to, używać wolno.

— A właśnie, że nie wziął za żonę! — zawołał popędliwie Abersznyt. — Mam w ręku dowody, iż stary Spritzkuchen oddawna tai bankructwo, wiem, iż córce nie dał grosza posagu. Ponieważ zaś Schnauz wyprawia bale i razem z żoną kocha się w biżuteriach, więc wszystko to opłaca mojami pieniędzmi.

— My tu Schnauza uniewinniać nie możemy — mówił znowu inny z pracowników kantoru — bo czy on zabrał pieniądze z kasy, czy je zabrał kto inny, zawsze on jednak jest winien. Dlaczegoż milczał o kradzieży? Wypada nam tylko ohyba prosić pana barona o łaskę, aby raczył powstrzymać cały bieg fatalnej sprawy, nie powierzając jeszcze zbadanie jej sądom. W interesie Schnauza i nas, jego kolegów, będzie leżało prywatne poszukiwanie istotnego przestępcy. Schnauz jednakże musi niebawem zebrać wszystkie kosztowności, które posiada w domu on sam i jego żona, aby to wszystko złożyć w depozyt panu baronowi, dopóki się kwestya nie wyjaśni. Nie wiem zresztą, czy panowie koledzy uznają za właściwą tę moją propozycję tymczasowego sposobu postępowania.

Tu i owdzie dały się słyszeć głosy potwierdzenia.

Kasyer milczał wobec postanowienia kolegów, które Abersznytowi zdało się przypadać do gustu, przeto rzekł:

— Ha, kiedy tak mówicie, ja się zgadzam!

Niechże więc Schnauz pracuje, aby się oczyścił; niech pamięta, że tu nietylko o jego honor chodzi... Sprawiedliwość jest nieubłagana!... Zobaczymy, zobaczymy!

W parę godzin po tem zdarzeniu, do gabinetu barona wszedł młodzieniec bardzo starannie ubrany i noszący się — jak to mówią — z godnością. Po jego fizyognomii, a szczególnie też po mocno zagiętym nosie, nadającym się najzupełniej do noszenia *pince-nez*, każdyby niezawodnie rozpoznał, iż to jest szczęśliwy potomek rodziny baronów Abersznytów. Kiedy stanął przed ojcowskim obliczem, rzekł z powagą:

— Wezwałeś mię do siebie, ojczy, więc przybywam.

— Mój Adolfe! — mówił baron, przeciągając samogłoski i silnie akcentując wyrazy. — Powiadają ludzie, że wydajesz bardzo dużo pieniędzy, że się rzucasz do gry hazardowej, że cię bardzo wiele kosztują rozmaite... przyjemności. — Baron chciał powiedzieć: „kobiety”, lecz ugryzł się w język.

On sam bowiem, jakkolwiek mąż i ojciec, nie był na tym punkcie bez winy, co też i synowi tajemnie było.

— Przedewszystkiem proszę ojca, aby mi z góry powiedział, czy to ma być spowiedź marnotrawnego syna przed zgorszonym rodzicem, czy przyjacielski dyskurs dwóch ludzi, niemających w danej chwili nic lepszego do roboty nad to, aby jeden słuchał, a drugi opowiadał drobne dykteryjki swego życia,—czy wreszcie ma to być rozmowa barona Abersznytta, ojca, z baronem Abersznyttem, synem, o stanie interesów majątkowych.

Tak postawiona rozmowa uderzyła barona, oraz wprawiała w niejaki zakłopotanie, co syn widocznie obserwował i tak mówił w dalszym ciągu:

— Bo, mój ojczu, kazań moralnych tyle się już nasłuchałem w życiu i jestem tak silnie przeświadczony o ich bezużyteczności, iż nie chcę cię narażać na mozolną pracę kaznodziej, która nie osiągnie celu założonego. Co się zaś tyczy wyznań i opowiadań na temat mojego sposobu życia, to musisz

przyznać, ojcze, iż dwaj Abersznytowie, w każdej chwili swego życia, mogą na świecie robić coś lepszego, niż się wzajemnie spowiadać przed sobą. Jeśli atoli chcesz mię, ojcze, przekonać na cyfrach, że suma pieniędzy, którą mi wyznaczyłeś na utrzymanie, jest zupełnie dostateczną, a ja jednak wydaję tyle, iż podkopuję fortunę Abersznytów, w takim razie słucham cię z całą uwagą.

— Powiedz mi zatem, ile zaciągnęłeś długu?—rzekł krótko i nieco opryskliwie baron.

— Na wekslach z moim podpisem jest suma ośmnaście tysięcy rubli. — Była odpowiedź również krótka.

— I to zaciągnęłeś w jakim przeciągu czasu?

— W ciągu jednego roku niespełna.

— Rzecz dziwna, po raz drugi dzisiaj tracę taką samą sumę z kieszeni. — Mruozął baron, poczem dodał głośno:

— Mój Adolfe, czy nie uważasz, że to jest za wiele?

Młodzieńcowi przebiegł po bladych ustach szyderczy uśmiech; ale wnet zebrał zimną powagę i rzekł:

— Ojcie, nie schodźmy z raz obranej drogi i nie przenośmy się na pole krytykowania właściwości lub niewłaściwości drobnych postępków życia. Mówmy dalej o interesie!

— Jakże to rozumiesz? — pytał stary baron.

— Bardzo prosto! — odparł syn. — Mój dług jest długiem majątku Abersznytów, do których całkiem naturalnie i niezaprzeczenie należę. Dług ten będzie rósł ciągle, do póki go kiedyś sam nie zapłacę. Ale wtedy będzie to już duża suma, może setki tysięcy rubli, powstałe po największej części z niesłychanie wielkich procentów, kapitalizowanych przez wierzycieli. Jeżeli zaś dług ów dzisiaj zapłacimy, przestaje on natychmiast ciężyć na rodzinnej fortunie. Powiedz, ojcie, czy właściwem jest, ażeby syn twój płacił trzydzieści lub czterdzieści od sta wtedy, gdy kapitały Abersznytów przynoszą — jak wiem — zaledwie cztery lub pięć procent. Widocznie robimy złe interesa.

Całe zachowanie się młodego Abersznyta sprawiało snadź zadowolenie baronowi, który, miloząc, wyjął z biórka jakąś książkę.

czkę, wyciął z niej kartkę i na kartce wypisał: „Wypłacić okazielowi sumę rubli 18,000”. Był to przekaz do banku.

Doręczając synowi ekwiwalent długu, zaciągniętego na rozmaite przyjemności, baron rzekł jeszcze lakonicznie:

— Dlaczego w podobny sposób nie mówiłeś ze mną nigdy dotychczas?

— Nie byłem nigdy pytany i sądziłem, że ty, ojcze, uważasz za właściwe, abym robił długi. — Odparł spokojnie Adolf, poprawiając na nosie binokle.

Ojciec wziął ze stołu inną białą kartkę i napisał niebieskim ołówkiem: „Od daty dzisiejszej kasa ma wypłacać JW. Baronowi Adolfowi Abersztynowi co miesiąc rs. 1,000 stałej pensyi”.

Na tem się zakończyło rodzinne posiedzenie i wymiana myśli pomiędzy synem a ojcem.

VI.

W kantorze wszystko szło znowu po starym, tylko na miejscu Schnauza zasiadł nowy kasyer, pan Rozczapiecki, zbankrutowany szlachcic, a z młodych, wesołych lat przyjaciel barona, przytem protegowany przez wiele osób wielkiego rodu i znacznego stanowiska. Rozczapiecki, był to człowiek dużych onót i zalet międzynarodowych, ogromny znawca przepisów etykiety i chodząca wyrocznia na punkcie koni, psów, gry w karty, herbów, pojedynków, pięknych kobiet, i t. d. Kiedy raz hrabia Lulu miał słynny w świecie spór z księciem Bibi o pewną niewłaściwość w beziku, trzęsło się całe *towarzystwo* i już, już miała się połać tak droga dla narodu, a coraz to rzadsza krew, gdy Rozczapiecki wytłomaczył wszystkim, jak na dłoni, że ani zagranie pewnej karty przez księcia nie było niewłaściwością, ani pre-

tensya hrabiego Lulu nie stanowiła obrazy. Sądźmy, iż tego rodzaju zasługi, przyczyniły się głównie do zjednania Rozczapiec-kiemu reputacyi zacnego człowieka i stanęły potężnie na drodze goliźnie, która obwi-nęła się dokoła niego energicznie, grożąc mu śmiercią głodową.

Schnauz, stosownie do koleżeńskiego wyroku, oddał w ręce barona pudełko z biżu-teryami żony i z największą dyskrecyą, przez wzgląd na poprzednie zasługi, został usunięty od obowiązków kasyera, oczekując niby to rozjaśnienia sprawy kradzieży w ka-sie. Miał on w kantorze swoich stronników i ci uważali go poprostu jako ofiarę losu. Tacy, którzy sądzili, iż na nich mogą być przelane ważne obowiązki kasyera, zdekla-rowali się otwarcie przeciw Schnauzowi, twierdząc, iż był grubym złodziejem. Inni nareszcie, nie mówili, filuternie tylko mrugali oczyma, podzielając już tę, już ową opinię. Gdy atoli Rozczapiecki niespodzie-wanie otrzymał nominację i nie mogło być mowy o tem, że albo Schnauz do posady wróci, albo ją ktoś z miejscowych otrzyma,

nabierało też coraz większej siły i przekonanie, że istotnie były kasyer był bardzo sprytnym złodziejem.

— Uciulał sobie niezły kapitalik! — mówili kantorowi koledzy, a ten i ów wzdychał.

— I cóż mu teraz zrobią? Siedzi sobie, jak u Pana Boga za piecem i pracować nie potrzebuje. Bo przecież te kosztowności, które oddał baronowi w pudełkach, nie są warte nawet tysiąca rubli. Były to czyste kpiny.

— Głupi by był, żeby wracał to, co raz posiadał. — Dał się słyszeć głos z boku.

— Rzeczywiście, śmiesznie wygląda człowiek, który kradnie, a potem oddaje. — Mówił jeszcze ktoś inny.

Kiedy takim przeobrażeniom ulegały sumienia i zdania w kantorze, czynności odbywały się w porządku, z mechaniczną regularnością. Zwolna zapominano o Schnauzie, o kradzieży.

Aż tu jednego dnia rano, Rozczapiecki podskoczył na szrubowem krześle, ogłaszając, iż w kasie brakuje gotówką 200 rubli.

— Mamy drugiego robaka! — szepnęła ironicznie jeden z urzędników.

W kantorze zrobił się znowu wielki alarm. Sprowadzono Abersznytę, obliczano kilkakrotnie kasę, dwustu rubli brakowało.

— To sprawka Schnauza! — zawołał baron głosem, znamionującym wielką pewnością. — Łotr chce pokazać, że i bez niego kradzież ma miejsce.

— No, ale jakżeby się tu Schnauz mógł przedostać? — rzecze dysponent. — Czy jest, choćby najmniejsze, podobieństwo wejścia do kantoru i otwarcia kasy naszej?

Abersznyt słuchał, wpatrując się uważnie w koniec swojego buta, jakby mu ztamtąd przyjść miało jakie oświecenie; nareszcie rzekł z powagą:

— Moi panowie, wykrycie złodzieja powinno być także i waszym interesem. Alboż wam nie oddałem z dobrą wiarą mojego majątku? Osądźcie sami, czy się godzi, abym w zamian odbierał przeniwierstwo?

Niektórym urzędnikom kantoru słowa barona padły na serce. Przecież wykrycie złodzieja byłoby tu zasługą, a zasługa pociąga

za sobą odznaczenie, w ślad zaś za odznaczeniem, idzie podwyższenie pensyi lub gratyfikacya. Głodne żołądki lubią być za cnotę wynagradzane, o czemu niech się nikt nie dziwi.

Najgorliwsi przeto z kantorzystów niższej hierarchii zabrali się ostro do Onufrego. Jeden z nich, człowiek bardzo młody i jeszcze bez etatu, niejaki Strzałowicz, puścił się na przeszpiegi do mieszkania woźnego, upozorowawszy to jakimś interesem. Ale Onufry Drzemalski, żołnierz stary, nie posiadał nic, oprócz kilku znaków za waleczność, oprócz o wiele młodszej od siebie żony i trojga dzieci. W izbie, którą zajmował stary wiarus z rodziną, przedstawiał się zwykły obraz niedostatku, jaki łatwo każdy widzieć może w pierwszych lepszych suterenaach. Dla Strzałowicza był to niemiły zawód. Jakże ten człowiek gorąco pragnął, żeby Drzemalski był istotnie złodziejem, albo przynajmniej, żeby się przyznał do jakiej malwersacyi!

— U Onufrego w domu znać nędzę — mówił Strzałowicz. — Ale to właśnie może

być dowodem, że kradnie. Głupi byłby, gdyby zmienił sposób życia.

Zwabił więc woźnego do swego własnego mieszkania, które się też przedstawiało niewiele lepiej od izby obwinionego. Tu dopiero rozpoczęły się wielce racjonalne przekonania, namowy, przedstawienia, zakłęcia w imię religii i moralności, odwoływania się do sędziwego wieku, do niesplamionej służby, do nieskalanych zasług i honoru żołnierza, do obowiązków względem kraju, żony i dzieci, które powinny po ojcu odziedziczyć czyste imię.

Onufry najprzód zwymyślał Strzałowicza, groził mu sprawiedliwością ludzką... potem boską; ale, wspomniawszy sobie, iż może stracić posadę w kantorze, rozbeczał się stary, jak dziecko, szlochał i mruczał coś pod nosem o swoich siwych włosach oraz o ranach, które odebrał na polu bitwy, jako świadectwa honoru...

— Ja, mój panie, nigdy nie służyłem dla pieniędzy... A chcecie, żebym teraz cierpiał dla ich miłości! Bóg wam to niech przebaczy!...

— Mój Onufry!—rzecze Strzałowicz w sposób dydaktyczny. — Nikt was tu nie chce zrobić złodziejem, chodzi tylko o wyświe tlenie prawdy. Jeżeli w jakim towarzystwie zginie zegarek, wszyscy powinni się starać, aby wykryć prawdę, powinni się poddać re wizyi, aby się oczyścić, bo nie wiadomo, kto sobie rzecz przywłaszczył. Właśnie ta sama okoliczność teraz zachodzi.

— Alboż ja jestem w waszem towarzy stwie? — wołał Onufry. — Wszyscyście bli żej kantoru i kasy, aniżeli ja. Nietylko urzę dnicy, ale cała służba pana barona, prędzej się może tam przedostać. Dlaczegożście się uwzięli na mnie jednego? Czy dlatego, że ja z was wszystkich najmniejszy? Że łat wniej się przyczepić do biedaka, niż do pa na lub lokaja?... Trudna rada, bierz dyabeł służbę i wszystko, jeśli mam zostać na sta rość złodziejem! Czemu państwo nie oddaje cie sprawy do sądu? Jaby w sądzie mówić potrafił! Sędzia nie pyta, kto biedny, kto bogaty. Tłucze się coś po nocach w kanto rze; drwicie ze starego, że to nie żadne stra chy... No, jak nie strachy, to złodzieje, ale

Nowele. Serya III.

5

nie Drzemalski!... A z kądże przychodzą ci złodzieje? Juścić nie wchodzą drzwiami żelaznymi, przy których ja sypiam, nie wchodzi, jak mi Bóg miły! Więc wchodzą z pokojów pana barona. Alboż to w tych pokojach mało ludzi? Alboż to ja jestem podobniejszy na złodzieja, niż oni?...

Onufry mówił logicznie.

Nazajutrz kradzież nie miała miejsca w kasie, nie było jej też przez dwie noocy potem. Dopiero czwartego dnia, po wypadkach powyżej opisanych, pan Rozczapiecki spostrzegł znowu kradzież w kasie i to kradzież wyższego rzędu. Albowiem przy listach zastawnych, złożonych w depozycie przez hrabiego Złotorzeckiego, brakowało ostatnich kuponów. Skradziona suma wynosiła tym razem przeszło 8,000 rubli. Rwetes więc był straszny, w kanterze wszyscy porwali głowy, a baron Abersznyt popadł w szal, graniczący z rozpaczą.

— Mnie tu z nogami zjedzą! — krzyczał jak opętany, tupiąc w ziemię i wywijając rękoma. — Majątek tracę, czeka mię ruina,

a nikt o to nie dba, nikt się nie troszczy!...
Co za ludzie!

Spisano czempredzej numeru skradzionych kuponów, rozesłano cyrkularze do różnych banków i kantorów. Zanim to wszystko jednak zrobiono, kupony mogły już być wymienione.

Wtem, około godziny pierwszej z rana wszedł do kantoru posłaniec, oznaczony liczbą 184 i przyniósł list oraz paczkę opieczętowaną, pod adresem: „Do własnych rąk Jaśnie Wielmożnego pana Barona, Czesława Abersznytta”. Kantor przesłał natychmiast list z paczką do pryncypała. Wnet potem wpadł do kantoru Zabicki, przynosząc polecenie barona, ażeby posłańca przytrzymano.

Okazało się, iż w paczce były kupony na sumę rs. 2,000; przeto trzy razy tyle brakowało do sumy skradzionej. Koperta, stanowiąca opakowanie kuponów, zrobiona była z blankietu, zabranego widocznie z kantoru, gdyż widniała na nim firma domu Abersznyt. Pismo listu zdradzało rękę kobiety, a treść opiewała, iż osoba nieznajoma odsyła baronowi paczkę; znalezioną rano na ulicy pod

oknami jego domu. Poniżej znajdowała się data i nic więcej.

List ów oglądano na wszystkie strony. Badany posłaniec oświadczył, iż na rogu ulicy Marszałkowskiej i Złotej wręczył mu posyłkę jakiś młody człowiek, blondyn, pięknie ubrany, z laseczką w ręku. Bądźże tu mądry! Takich blondynów każdy znał wielu i tego musiano zaliczyć pomiędzy mity. Myślał baron, myśleli po kolei wszyscy urzędnicy, a nikt się niczego domyśleć nie zdołał. Obserwowano litery, lecz nadaremnie, a badanie znaków pisarskich nie wydało również rezultatu. Ktoś z kantoru wpadł na dobrą myśl, pobiegł do domu i przyniósł zaproszenie na balik, pisane jeszcze w karnawale ręką pani Ludwiki Schnauz. Porównywano styl i pismo; ale wszystko to na nic się nie zdało, gdyż nie znaleziono żadnego podobieństwa.

Nareszcie Strzałowicz uderzył się ręką w czoło i wykrzyknął z entuzjazmem:

— Mam go!

Wszyscy spojrzeli z oiekawością na młodzieńca, a on tak powiedział:

— Widzicie państwo ten różowy monogram, ułożony z liter A. M! Taki sam znajduje się i na kopercie. Jest to praca, wykonana prawdopodobnie w Warszawie, a jak wnoszę z gatunku papieru, to w jednym z pierwszorzędných magazynów, więcu Wieniawskiego lub u Szustra, a może u Mesterhaus'a, albo Flecka. W każdym razie zakład musi poznać swoją robotę i swój towar, a w księgach musi być zapisane nazwisko kundmana, dla którego monogram przygotowano.

Myśl Strzałowicza wydała się być subtelną i podobała się powszechnie; tylko jeden baron sentymentalnie kiwnął głową, mówiąc:

— Zdaje się, że mamy do czynienia z dobrym graczem, a taki musiał to wszystko przewidzieć. Jeżeli w tem niema ręki Schnauza, to prawdopodobnie jest wyższy jeszcze gatunek złodzieja.

Niemniej wszakże Strzałowicz rzucił się na miasto; przebiegł on magazyny i nareszcie u Szustra przyznano się do papieru oraz do roboty monogramu.

Papier, oznaczony znanym nam monogramem, obstalowany był w sklepie przed tygodniem dla pani Anastazyi Müller i odesłano go do jej mieszkania przy ulicy Hożej, numer 14b.

Strzałowicz, ozerpnąwszy tę wskazówkę, niebawem pośpieszył do wskazanego sobie adresem domu i tu na liście lokatorów odnalazł pana Ignacego Müllera, urzędnika kolei Terespolskiej oraz małżonkę jego Anastazję. Męża nie było właśnie w domu; ale żona przyjęła naszego kantorzystę. Na nieście było to młodziutka i pełna powabu kobieta.

— Przybyłem tu z wielką prośbą do pani dobrodziejki, chodzi mi o bardzo ważną informację— mówił gość nieoczekiwany, szatając się i uśmiechając, jak mógł najprzyjemniej.

— O cóż takiego chodzi? — zapytała gospodyni oschle, przybierając surowy wyraz twarzy.

— Czy pani nie odebrała w tych dniach pudełka listowego papieru w ilości stu arkuszy i tyleż kopert z monogramem A. M?—

mówił znowu Strzałowicz, przybierając układ poważnego lwa salonowego.

— Przedewszystkiem racz mi pan powiedzieć, co cię to może obchodzić? — rzekła pani Müller, urażona jakoby natarczywością zapytania nieznanego człowieka.

— Oh pani! — zawołał kantorzysta. — Jesteś tak cudownie piękną, że ookolwiek do ciebie należy, musi mię bardzo obchodzić.

— Jeżeli tak — rzecze młoda kobieta — to zechciej pan w tej chwili opuścić moje mieszkanie! — i palcem pokazała gościowi drzwi.

Mimoходом musimy zrobić uwagę, iż wdzięki pięknej kobiety w chwili oburzenia nabierają siły. Strzałowicz spojrział w przesłizne czarne ozy, miotające najprzyjemniejsze w świecie błyskawice, w szlachetną a lekko rozognioną twarz pani Anastazy i zapomniał o Schnauzie, o kradzieży, o celu swej misyi. Wiadomo, że kantorzyści w ogóle są kochliwi, a nasz bohater przechodził wszelkie pod tym względem oczekiwanie. Postąpił więc parę kroków naprzód i ochniał ucałować małą rączkę, która go groźnie skazywała na opuszczenie raj; ale

w mgnieniu oka, rączka ta przyłożyła mu tak energiczny plaster na policzku, iż się zachwiał w swoich posadach. Właśnie drzwi się roztwarły i weszła stara a chuda, lecz wysoka służąca. Śmiałym krokiem postąpiła ona do kantorzysty, który nie miał nic lepszego do zrobienia, jeno dać nura.

Teraz dopiero, gdy już był na ulicy, pomyślał sobie, jak lekkomyślnie spełnił swe zadanie. Wybiegł na Kruczą, dobiegł do Alei Jerozolimskiej, kilka razy palcem dotknął zboląłego policzka i wszedł do okienni Semadeniego. Tutaj przekonał się naocznie przed zwierciadłem, iż tak szlachetny instrument, jak małeńka i bielutka rączka kobiety, może jednak sprawić nabrzmienie twarzy.

— Ha, trudno! — mówił sam do siebie — poniosłem ofiarę dla interesu!...

VII.

Kiedy Strzałowicz powrócił do kantoru, zarzucono go pytaniami.

— No i cóż pan zrobił? — odzywano się zewsząd.

— Przeprowadziłem sprawę w połowie! — odpowiedział głosem pełnym powagi. — Papier pochodzi z magazynu Szustra, monogram wykonano na obstalunek dla pani Anastazyi Müller, mieszkającej przy ulicy Hożej pod N-rem 14b. Ale to baba straszna, niech ją sęk zje. Na kolanach prawie błagałem, aby mi powierzyła tajemnicę; nic nie pomogło, zachowała się względem mnie po grubiańsku.

— Jakto, nie chciała panu nic powiedzieć o papierze z monogramem? — pytał dysponent.

— Właściwie mówiąc, nie przyszło między nami do rozmowy o papierze. — Odrzekł

Strzałowicz. — Chciałem ją bowiem wprzód z boku wy badać i zobowiązać, aby wszystko szczerze wyjawiała; ale obruszyła się na mnie i nagadała mi tyle przykrych słów, że postanowiłem zaniechać z nią dalszej rozmowy.

— Czyś pan tylko nie popsuł wszystkiego przez zbytęzną natarczywość? — mówił znowu dysponent.

— Popsuć, nie popsulem, nie mogłem tylko dokończyć... Na mojem miejscu zrobiłby ta samo każdy człowiek z ambicyą — Tutaj, mimowoli Strzałowicz dotknął ręką obrażonego policzka, co zwróciło nań uwagę wszystkich i dało pole domysłom oraz wywołało szepty w całym biurze.

Dysponent odebrał list z monogramami, zanotował sobie adres pani Müller i ozemprędzej udał się na Hożę. Przyjęto go z niedowierzaniem, a już tym razem wystąpił sam gospodarz, widocznie poinformowany o wszystkim, co w domu jego zaszło, gdyż pochmurnie i zimno powitał zwierzchnika kanteru. Atoli dysponent był człowiekiem wytrawnym, umiał z ludźmi mówić, więc się też dowiedział bardzo szczegółowo, że pan

Müller obstał u Szustra 100 arkuszy papieru i tyleż kopert z monogramem A. M., oraz że mały ten podarek pani Anastazyja otrzymała w dniu swoich urodzin. Paczkę z tym papierem przedstawiła później sama pani Müller, zaznaczając, iż dotąd jeszcze nie zaglądała wewnątrz, że sprawunek leży nietknięty, jak go nadesłano przed paru dniami z magazynu.

Otworzono paczkę, przeliczono arkusze oraz koperty i przekonano się, że liczba tak jednych, jak drugich, wynosiła 99; zamiast zaś brakujących, znaleziono w paczce czysty arkusz papieru i czystą kopertę. O wizycie Strzałowicza unikano wzajemnie rozmowy.

Za chwilę potem para dorożkarskich koni zaniósła osobę dysponenta przed magazyn Szustra, przy placu Teatralnym.

— Czy nie mógłbym osobiście pomówić z człowiekiem, który wykonywał ten oto monogram? — zapytał pan dysponent zarządzającego sklepem.

— Zaprowadź pana dobrodzieja do pana Feliksa! — otrzymał rozkaz chłopiec sklepowy.

I otóż dysponent znalazł się wobec młodzieńca, liczącego jakie osiemnaście lat wieku życia.

— Czemże panu dobrodziejowi mogę służyć? — zapytał najuprzejmiej pan Feliks.

— Racz mi pan powiedzcie, czy wykonywałeś kiedy ten monogram? — badał dysponent, wskazując na wierzchońnię część listu, nadesłanego wraz z kuponami do kantoru.

— Tak jest, pamiętam dobrze, monogram ów miałem pod ręką przed tygodniem.

— A czy monogramem zaopatrzyłeś pan ściśle sto arkuszy papieru i sto kopert?

Młodzieniec, któremu rzucono powyższe pytanie, zastanowił się przez chwilę, poczem twarz jego oblał rumieniec i począł się jąkać:

— O, tak!... Przepraszam pana!... Prawda święta! Zabrakło jednego arkusza i jednej koperty, przeto dołożyłem czystego papieru... Ale na miłość Boga, nie oskarżaj mię pan dobrodziej przed pryncypałem... Straciłbym miejsce w zakładzie!

— Dobrze! — rzecze dysponent. — Ale trzeba mi powiedzieć szczerze całą prawdę. Na

coś pan użył tego arkusza papieru i tej koperty?

— Powiem wszystko, powiem bardzo chętnie! Oto, wszedł tu do sklepu jakiś pan młody, podszedł do mnie i prosił bardzo o sprzedanie jednego arkusza papieru oraz jednej koperty z tym właśnie monogramem. Z początku odmówiłem mu stanowczo. On jednak silnie nalegał, a przytem był taki uprzejmy, częstował mię papierosem, iż mu zaproponowałem, aby zapytał pryncypała, czy sprzedać pozwoli. Wyszedł więc z tego pokoiku do sklepu i wnet znowu powrócił, mówiąc, że pryncypała właśnie niema w sklepie; nalegał zaś nieustannie. Aby się go pozbyć, sprzedałem mu żądany arkusz i kopertę; ale kiedym pieniądze za to odnosił do kasy, przekonałem się, że pryncypał nigdzie nie wychodził i że mnie źle postąpił, uległszy namowom. Ponieważ mi takiego papieru sprzedawać nie wolno, nie więc nie powiedziałem o sprzedaży. Myślałem sobie nawet, że papier ów z kopertą może będzie użyty do jakiej intrygi. I widać tak jest, skoro się pan dobrodziej dzisiaj dowiaduje.

Dysponent miał bystre oko, żadne ruchy chłopca nie uwały jego uwagi, wszystko on umiał właściwie ocenić. Od czegoż był przełożonym w kantorze? Więc ostatecznie, wpatrująco się przenikliwie w młodzieńca, rzekł poważnie:

— A jeśli, panie Feliksie, sprawa oddaną będzie do sądu, czy nic więcej nie będziesz miał do powiedzenia?

— O, panie dobrodzieju! — zawołał młody człowiek. — Czyż mogłem to przewidzieć, że czyn mój aż o sądy się oprze? Oto jest trzech moich kolegów, którzy wspólnie ze mną pracują nad monogramami i biletami; wszyscy oni mogą poświadczyć, że temu panu nie chciałem sprzedać papieru wraz z kopertą. Zresztą, jest on dla mnie, równie jak dla nich, zupełnie obcą osobą.

Inni młodzieńcy, przysłuchujący się z boku rozmowie, potwierdzili szczerą zeznań kolegi.

Dysponent zrobił swoje; z magazynu Szustra pośpieszył do kantoru i przedstawił baronowi rezultat swych poszukiwań.

— Jesteśmy więc na tyle objaśnieni, ile

nam już powiedział posłaniec numer 184. — rzekł Abersznyt.

— Tylko teraz wiemy jeszcze, iż młody blondyn, kupujący papier z monogramem, jest tym samym człowiekiem, który wręczył posłańcowi list i paczkę z kuponami. — Dodał dysponent. — A może się jeszcze dowiemy, że on także zmieniał resztę kuponów. W każdym razie, jeżeli sprawa ma iść na drogę sądową, jest już przygotowany punkt wyjścia dla śledztwa.

— Poczekamy, poczekamy! — zawołał pośpiesznie baron. — Bardzo proszę wszystkich panów o zachowanie całej sprawy przez czas jakiś w tajemnicy.

I istotnie po za ściany kantoru nikt dotąd nie wyniósł tego, co zaszło. Rozpytywano się tylko nadzwyczajnie gorliwie o stosunki pokrewieństwa oraz przyjaźni obojga małżonków Schnauzów.

Upłynęło kilka tygodni; w kasie kradzież nie miała miejsca. Właśnie w tym przeciagu czasu przedsięwzięto jak największe środki

ostrożności. Na ulicy, przed oknami kantoru, wartowali stróże, najęci przez barona; stróże także stali na czatach w sieni pod drzwiami. Strzałowicz proponował nawet urządzenie przy kasie pułapki, czy samostrzału, lecz propozyoyi jego jakoś nie uwzględniono. Z kasy ogniotrwałej usunięto sumy depozytowe, a gotówkę już i w mniejszych sumach przesyłano co rychlej do banku. Rozczapiecki zaś, aby zdjąć ze siebie wszelką odpowiedzialność, oddał baronowi swój klucz od kasy. Przeliczano kasę przed zamknięciem kantoru i zaraz po jego otwarciu, a zawsze przy tej czynności znajdowało się trzech urzędników, nie licząc kasyera. Co więcej, zmieniono wszystkie stare zamki oraz klucze i zastosowano zupełnie nowe, wielce misterne.

— Przy tak ścisłym porządku—twierdził baron — niepodobna, aby kradzież mogła nastąpić.

I rzeczywiście, zdawało się, iż nowy ład stanowczo położył kres nadużyciom.

Cały kantor, niby machina, ohwilowo zachwiana, w skutek wypadnięcia jednej szrub-

ki, a potem znowu naprawiona, powrócił do swych regularnych czynności z największą prawidłowością. Każdy robił tu swoje. Czasem tylko ten i ów porzucał swoje biurko, zbliżał się do stolika kolegi, zaciągnął się papierosem, porozmawiano i robota szła dalej.

Baron Abersznyt przywiązywał teraz ogromną wagę do zwracania uwagi na ludzi nieznanym, którzy w różnych interesach pojawiali się w kantorze. To też ilekroć obca jakaś osobistość przestąpiła te progi, wszyscy obserwowali ją z największą bacnością, niby to od niechocenia, ale z całą skrupulatnością. Do kantoru przychodzą różni, a między nimi zapewne dużo takich, którzy mają podejrzaną fizyognomię. Zresztą, czemużby tu nie mieli przychodzić i złodzieje?

Jednego dnia, około południa, pojawił się w kantorze jakiś człowiek, mający oczy czarne, bystre i okrągłe, jak dwa trojaki; chodziło mu o osobiste porozumienie się z dysponentem, lub ze samym pryncypałem.

Po skończonej rozmowie, dysponent rzekł do urzędników:

— Czyście panowie zwrócili uwagę na te
Nowele Serya III.

go ozłowieka? To musi być jakiś ptaszek! Wygląda dyabelnie podejrzanie. Powiada, że jest z Wrocławia, że mówi tylko po niemiecku, a żądał odemnie jakoby informacji co do osobistości Schnauza, z którym wchodzi w jakiś interes.

— I cóżes mu pan powiedział? — pytano zewsząd.

— Powiedziałem mu, że Schnauz ustąpił z posady kasyera w skutek nieporozumień, jakie wynikły pomiędzy jego zapatrywaniem się na prowadzenie kasy a poglądami barona. — odrzekł dysponent.

— Bardzo dobrze! Bardzo oględnie! — powtarzali kantorzyści.

— Ale w samej rzeczy, ten ozłowiek wygląda, jakby wsi palił, a kościoły rabował. — Wtrącił Strzałowicz.

— Rozglądał się bardzo pilnie po kancie, oczekując na rozmowę z panem dysponentem, — wtrącił ktoś inny.

— Jaka to szkoda, że odrazu nie wyszedłem za nim z kancie! — mówił Strzałowicz. — Dobrzeby go było potropić.

— Ej, panie Strzałowicz, tobie się już nie

— Kto tu jest? — ryknął baron chrapliwym głosem, otwierając szeroko oczy, rażone światłem płonącej świecy. — Złodziej!... Złodziej!

— To ja, Zabicki, jaśnie wielmożny panie! — odparł stary, blednąc i czując, iż mu głos w piersi zamiera, bo po raz pierwszy to baron nazwał go właściwie. — Chcę jaśnie panu dać uspakajające lekarstwo, bo sen jest bardzo niedobry.

— Idź precz, stary ośle! Daj mi pokój! — wołał baron i wzbraniająco wywijał rękami, tak, iż uderzył podawaną sobie szklanke i wylał w łóżko wszystką wodę.

— Wynoś się do kroćset dyabłów, durniu! — krzyknął Abersznyt, unosząc w górę biust swój, oblany wodą.

Zabicki odskoczył kilka kroków od łóżka, spojrział w zaperzoną twarz barona i powiedział sobie w myśli: „Nadeszła pora!” Głośno zaś dodał:

— Durniem nie jestem i tak mię jeszcze nikt nie nazwał!

— Za drzwil!... Cymbale, kpie, durniu! — wrzasnął znowu baron, rzucając wściekle spojrzenie.

Zabicki cofnął się ku drzwiom jeszcze dalej, tak że go baron zaledwie mógł widzieć w cieniu. Stary wyprostował się teraz, zebrał całą odwagę i rzekł donośnie:

-- W ten sposób mogą się z ludźmi obchodzić tylko tacy panowie, co pochodzą z żydów!...

Ostatnie słowo wymówił z niezmiernym naciskiem, wiedząc, iż dobrze ugodził, iż odtąd nie będzie mógł już nigdy rozmawiać z baronem. Poczem wypadł za drzwi i zakręcił klucz w zamku. Zamknięty w swoim gabinecie Abersznyt wpadł w nadzwyczajną wściekłość, wyjął ze szufladki rewolwer i począł strzelać. Niezadługo zbiegli się liczni lokaje, cały dom został rozbudzony. Daremnie przerażona baronowa usiłowała przywrócić spokój męża. Miotał się, klął, wymyślał, wszyscy myśleli, iż oierpi obłąd.

Po ustąpieniu Zabickiego z domu Abersznytów, żadne kradzieże w kantorze nie miały już miejsca. Tak to walczą ludzie z ludźmi, albo rasy z rasami.

K O N I E C.

GŁÓD I MIŁOŚĆ.

Co anioł rajsą rozkoszą zowie,
Co szatan piekła katuszą mieni,
To człowiek nazwał — miłością.

H. Heine. Księga Pieśni.

I.

Panna Antonina Hałastrowiczówna w roku 1865 miała lat dwadzieścia i była bardzo piękna. Urodziła się ona w południowej części Królestwa Polskiego, na ziemi suto zroszonej wodą, bogatej w łąki, błonia, — ubogiej w lasy i wydającej jeden z najsłynniejszych na świecie gatunków pszenicy. Ziemia to wesola, pełna pieśni, mitów oraz chwały statutu mądrego króla. Wisła ze Szreniawą, Nidzią i Nidą dają tu glebie płodność, ludziom — urodę.

Ale w przyjściu na świat pięknej Antosi odgrywały rolę inne jeszcze okoliczności.

Rozwojowo i w drodze etnicznego krzyżowania, na zasadzie procesu doboru przyrodniczego, a w interesie uszlachetnienia typu gatunkowego wytwarzają się ludzkie piękności. Dosyć np., aby się przytarły niektóre zgrubiałe krzywizny nosa semickiego, —

aby oczy pozyskały nieco łagodności, a już niebawem ukazuje się piękność w swoim rodzaju. Pulchna, okrągła niemka, blondynka, wygląda jak polędwica świeża, włożona w muslinowy woreczek; ale jeżeli tu nastąpi przymieszka krwi południowej lub wschodniej, powstaje bardzo piękna nieraz kobieta. Nieco namiętności sprawia tu już inną grę mięśni i nadaje wyraz oku. Tak tedy piękny człowiek wydaje się być kombinacją daleko bardziej złożoną, aniżeli człowiek o pospolitych rysach twarzy.

Tłuszcz, pod względem piękności fizycznej, jest tem, czem egoizm w życiu duchowym: kilka jego kropli zanadto, gdy się podłoży pod szlaki, któremi kroczy szlachetne piękno ciała, stanowi to już embryony pucołowatych policzków i podwójnych oraz potrójnych podbródków, nie mówiąc o innych wypukłościach powszędy. Atoli dzielny organizm, kiedy jest w kwiecie wieku, umie przewyżkę odżywiania obrócić na cele inne, niż na tyocie. Podobnie energiczna człowiecza psyche, niechętnie coś dorzuca do skarbcza egoizmu, lecz w głębi swojej wypracowu-

je cenne, duchowe perły, na rzecz całego ludzkiego gatunku.

Antosia—według mego poglądu na wdzięki niewieście — była skończoną pięknością, niepodległą żadnemu zwyrodnieniu. Ale zkądże się ona wzięła na świecie? Jacy byli jej przodkowie?

Prawdopodobnie każda nowożytna piękność jest wynikiem dawniejszych lub nowszych stosunków międzynarodowych. — O mojej bohaterce mogę to twierdzić na pewno, gdyż posiadam dostatecznie wiarogodne świadectwa. Antosia, że tak powiem, była ilością wiadomą w równaniu, którego drugą wiadomą stanowiła jej matka, pani Hałastrowiczowa. Pomimo tych danych, pan Hałastrowicz, mąż pani Hałastrowiczej, nie wypadł żadną miarą w rezultacie temu, kto usiłował rozwiązać wspomniane równanie. Żyją jednakże dziś jeszcze ludzie, którzy dokładnie pamiętają i przysięgą gotowi są stwierdzić, jako w kilka dni po ślubie małżonków Hałastrowiczów, widziano w domu tych państwa prześliczną, prawie trzyletnią dziewczeczkę — Antosię. Więc

nie chcemy tu przypuszczać żadnego cudu i konstatujemy następujące fakta:

Mateusz Hałastrowicz, ekonom w dominiu Pałki, ożenił się był z garderobianą księżnej Zbrojomirskiej z domu hrabianki Lutowojskiej, siostry dziedzica Pałek, hrabiego Alberta Lutowojskiego. Otóż, nie możemy taić przed czytelnikiem, że Antosia przypominała bardzo dokładnie piękne rysy szlachtetnego rodu Zbrojomirskich, a była ona znacznie piękniejszą od najpiękniejszej w tej rodzinie niewiasty, księżniczki Olimpi, późniejszej hrabiny Albertowej Lutowojskiej.

A któż znowu po kądzieli i po mieczu była owa garderobiana, to jest matka Antosi, a żona pana Hałastrowicza? Jest to nowe równanie do rozwiązania. Badając dosyć skrupulatnie różne świadectwa, znalazłem tu niejakię prawdopodobieństwa.

I tak, z domu książąt Zbrojomirskich zniknęła niegdyś bez śladu guwernantka francuzka. Opowiadano o niej, iż prowadziła życie bardzo smutne w pewnej leśnej ustroini, odległej o parę mil drogi od głównej re-

zydencyi Zbrojomirskich; mówiono, iż kobieta owa cierpiała umysłowy obłąd i wreszcie zmarła, pozostawiając po sobie niemowlę płci żeńskiej. Stara księżna, powodowana uczuciem litości chrześcijańskiej, wzięła dziecko do swego domu, wychowała je w cnotach i pobożności; gdy zaś dziewczynka ta podrosła, przeznaczono ją na garderobianę księżniczki Olimpii, której — bardzo być może — była ona także przyrodnią siostrą. Młody książę, brat Olimpii spotykał — rzecz prosta — ową dziewczynę i ludzie powiadają, że mu bardzo w oko wpadła. Było jej zaś na imię Anielka.

W jakiś czas, po wpadnięciu w oko książęce, Anielka, podobnie jak niegdyś jej matka, zniknęła ze dworu Zbrojomirskich. Ale nie każda kobieta dostaje pomieszania zmysłów po swojej rozmowie z kusicielem węzłem; nie przyszło na ten smutny koniec ani naszej pramatce Ewie, ani Anielce. Owszem, ówczesny pisarz prowentowy z Pałek, pan Hałastrowicz, rozgorzał ognistą miłością do Anielki, oświadczył jej się, prosił o rękę i dostał nietylko rękę, lecz całą osobę.

Wielcy panowie lubią niekiedy biedakom zapychać usta i gardła za pomocą złotego kruszcu, przeto mąż Anielki miał dostać wcale niezłe wiano. I między nami mówiąc, ów pan Hałastrowicz rad był, iż wyzyskał sytuację; od chwili swojego ożenku, stał on się człowiekiem zamożnym oraz szanowanym w okolicy. Często mawiał sam o sobie:

— Mój dom nie jest przecież z pierwszych lepszych.

Piękna Antosia była więc niby Hałastrowiczówną z domu; ale dużo za tem przemawia, że w gruncie rzeczy była to Zbrojomirska, urodzona ze Zbrojomirskiej. Przyroda, jak wiadomo, jest szczerą; zanosła ona znaczne niewieście wdzięki pod ekonomiczną strzechę, zupełnie tak samo, jak zanosi nasiona oraz szczepia palm na dzikie, bezludne i skaliste wyspy oceanu.

Antosia, jej babka i jej matka—wszystkie odznaczały się pięknnością. Z powodu wdzięków, przyroda skazywała niejako te kobiety na heteryzm. W społeczeństwach, stojących energicznie przy związkach rodzinnych,

wdzięki niewiasty nie zdają się być pożądane; atakują one bowiem niejako zdrowie psychologicznej matki pokoleń. Hałastrowiczówna była pięknoscią, ściągającą do siebie tłumy, — pięknoscią, która wyrażała sobą grzech kazirodztwa księżęcego. Przybrany ojciec Antosi przejął na siebie grzech ów, zamaskował niejako fakta i postanowił w dalszym ciągu prowadzić dzieło mieszania się narodów. Człowiek ten miał za swoje z powodu takiego uszlachcenia domu. Albowiem żona, nietylko że go moralnie za nos wodziła, lecz nieraz staczała z nim czyste fizyczne walki, a zawsze odnosiła stanowcze zwycięstwa.

Kiedy z biegiem czasu Hałastrowicz został generalnym rządcą w Pałkach, Anielka dokuczała mu jeszcze bardziej. Trzeba panu Mateuszowi przyznać, że był niepospolicie cierpliwym; on, co się umiał postawić hrabiemu, on, bicz boży dla chłopstwa, on — rzecz można — wice dziedzic Pałek, a w każdym razie, jedyna mądra głowa w Pałkach, on drżał, jak małe dziecko, wobec żony.

Hałastrowiczowa występowała do boju

z mężem, uzbrojona nie w jeden jakiś środek, ale w cały arsenał niewieścich środków i sposobów wielce skutecznych, a nadzwyczajnie groźnych. Po matce odziedziczyła ona wdzięki, kokieteryę, łzy na zawołanie i spazmy, po ojcu — niestałość postanowień oraz despotyzm, nieznający granic. Dodajmy do tego głowę wstrętnie przewróconą, ogromną umysłową ograniczoność, uważanie siebie za najglówniejszą osobę w Pałkach, a będziemy mieli pojęcie, jaką to była matka Antosi. Do młodych mężczyzn lubiła się ona mizdrzyć, stroiła się i fiokowała, o ile mogła, jak najwystawniej. Zresztą, ciągle wzrastający dobrobyt całej tej rodziny, polegał głównie na braku pojęć Hałastrowicza o tem, co to jest cudza własność. Pałki rentowały im się wybornie i z tego powodu nasz ekonom energicznie prowadził tu wzorowe gospodarstwo.

— Mają oni, mam i ja! — Mawiał do ludzi, rozumiejąc przez „oni” dziedziców Pałek.

Ród Lutowskiich i ich mienie znajdowały się na drodze rozwoju wstecznego; z po-

kolenia w pokolenie synowie byli głupszy od ojców. Natracili oni dużo ziemi własnej i dużo wziętej od cudzych rodzin, jako posagi żon swoich. Ostatnim męzkim potomkiem był tutaj hrabia Zizi, syn Alberta i Olimpij ze Zbrojomirskich; zabrnął on w szalone długi i Pałki, dziedzictwo jego zlicytowano. Nowy nabywca, kapitalista niemiecki, rozkolonizował połowę tego majątku, drugą połowę urządził, podzielił na folwarki i sprzedał za trzy razy taką sumę, za jaką nabył całe Pałki.

Hałastrowicz przeto stracił posadę, ale za to kupił sobie w powiecie Miechowskim piękną wioskę, Błogosławice. Jednakże już w trzecim roku swego dziedzictwa, po odbyciu czterdziestodniowego postu, w same święta wielkanocne, ziemianin ten padł ofiarą zamięłowania do głowizny na zimno, czyli, poprostu mówiąc, umarł z przejedzenia.

Pozostała wdowa wyprawiła nieboszczykowi bardzo suty pogrzeb, a dziś jeszcze na omentarzu w Kozikowie można oglądać kamienny pomnik, wyobrażający anioła płaczącego nad mogiłą; u dołu zaś czyta się napis :

„Najlepszemu z mężów i ojców, Mateuszowi Hałastrowiczowi postawiła wierna i kochająca żona Aniela”.

Po tym fatalnym wypadku, matka i córka zmuszone były wyjechać na jakiś czas do Krakowa, a to w celu sprawienia sobie żałobnych kostyumów, w których obu tym paniom było bardzo do twarzy. Pobyt w Krakowie przeciągnął się parę miesięcy i w tym właśnie czasie miała miejsce w Błogosławicach pogorzel: spaliły się—dwór, obora oraz owczarnia. Mniej się jeszcze wtedy ubezpieczano, a raczej nie miano wiary do wszelkiej towarzystw ubezpieczających, przeto klęska była znaczna. Jednakże Hałastrowiczowa zbyt się nie martwiła tym pożarem, albowiem stary dworek nie odpowiadał bynajmniej jej wymaganiom. To też teraz dziewczka Błogosławic, mało się troszcząc o brak krów i owiec, postanowiła przede wszystkim wystawić sobie piękny pałacyk. Jakoż niespełna w rok, na zgliszczach starego dworku, stanął nowy, elegancki budynek. A że się skończył i czas żałoby po mężu, więc wdowa rozpoczęła żyć wystawnie,

wesoło. Ni ztąd, ni zowąd, pojawiły się jakieś herby na guzikach przy liberyi lokaja i stangreta, herb wystąpił także na drzwiczkach powozu, na szczycie pałacyku, na bramie wjazdowej, a gdzieś tylko rzuoił okiem, spotykałeś koronę i pod nią cyfrę — A. H.

W skutek nierozsądnego używania, znikła stopniowo cała fortuna, którą sobie niegdyś przywłaszczył od dziedziców Pałek nieboszчыk Hałastrowicz. Zachcenia pani Anieli rosły nieustannie i przeto z kolei rzeczy rozmaici ludzie poczęli ją wywłaszczać ze spadku po mężu.

Jakoś już w ósmym roku posiadania Błogosławic przez rodzinę Hałastrowiczów, pojawił się tu wielki niedostatek; nie było czem służby opłacić, brakowało zboża na zasiewy, a kredyt pani dziedziczki upadł tak dalece, że w pobliżkiem miasteczku ani piekarz bułek, ani rzeźnik mięsa, nie chcieli dawać na kwitki. Zrozpaczona Hałastrowiczowa, przypisywała ten opłakany stan rzeczy złym rządóm swego ekonoma i w ogóle kradzieży, której się jakoby dopuszczała

cała służba, zbuntowana przeciwko szlachcie. Nareszcie nastąpił powszechnie przewidywany dzień sądny, to jest sądowe zajęcie przez wierzycieli spustoszonego i nadmier- nie obdłużonego majątku. A ponieważ dłu- gów było daleko więcej, niż Błogosławice miały wartości, przeto dziedziczka, zabraw- szy ze sobą córkę, nieco garderoby, rozmai- tych świecidełek i kosmetyków, schroniła się aż do Warszawy.

II.

Warszawa, jak każde wielkie miasto, robi użytek ze wszystkiego. Jest to niby maszyna społeczna, zamieniająca różne nieczyste odpadki na ważne użyźniające materiały, zgniłe jabłka na ocet, wydobywająca ze starych kości czysty tłuszcz na delikatne olejki i pomady. Jest to także jakoby duże serce wielkiej rodziny, które przygarnia i ogrzewa każdego, kto się ku niemu tuli. Warszawa, to ostatni ratunek dla upadłych dzieci, to nadzieja dla ludzi spragnionych wiedzy lub wyniesienia. Ona ma tysiące łóżek w swoich szpitalach dla chorych, ma tanie kuchnie i dobroczynności dla głodnych, ma więzienia dla zbrodniarzy, ma także domy rozpusty..

W dużem mieście moralność przemawia przez tysiące ust, a iluż ludzi trudzi się tu mozolnie i bez widocznego powodzenia nad

uszlachetnieniem człowieka... Snadziej ściera się tutaj to, co moralnością zwiemy, snadniej i zdrowie ciała ulega tu ruinie. Synowie narodu z łatwością tracą w Warszawie fortuny, a córki — cnotę. Złodziej zaś i opryszek mają tu może lepsze pole do działania niż w lesie...

Mieszkańcy dużego miasta chcą prędko przeżyć jedną epokę i otworzyć drugą, gorączkowo więc pracują tu cnotliwi i zbrodniarze.

Jakże wesoło jest w Warszawie! Na ulicach i podwórzach brzmia katarynki. Rozlegają się głosy donośne: „Garki do pobielania! Garki!” — „Kości kupuję! Kości, kości!” — „Weęgle do samowara! Weęgle do samowara!” — „Handeł! Handeł, handeł!” „Tanie śliwki, jabki smaczne, winagron tani!” Brzmia dzwonki tramwajów, huczy turkot powozów. Nędza i wykwint życia, mieszają się ze sobą; żebrak ociera się o bankiera, szynk graniczy ze salonem. I jakoś dobrze z tem ludziom, cieszą się, że im czas szybko uchodzi w tym zgiełku, w tej pstrokaciznie; są oni, jako drobne

muszki w falach ciepłego światła: trzepią się, brzęczą, bezwiednie spełniają przemiany swoje, jak je spełnia wszystko na świecie.

Każdy bankrut, gdy już wszystko stracił, traci jeszcze przez czas jakiś to, czego sam nie posiada: robi długi; później, gdy mu i tę drogę zatamują, może się spostrzedz, iż jeszcze ma coś własnego: siły do pracy, a w takiej nowej fazie może się znowu przeobrazić w kapitalistę, żyjącego z procentu od sił owych. Jeżeli zaś kto utracił i ten ostatni kapitał, wtedy ludzkość deleguje pewną niańkę, zwaną filantropia, ażeby piastowała niedołągę.

Hałastrowiczową bieda odrazu przyoi-snęła w Warszawie; wdowa i jej córka szybko pozbyły się tutaj wszystkich błyskotek oraz łachmanków, a nareszcie zadłużyły się o tyle, o ile tylko uczynić miały możność. Czarna jak grób przyszłość otwierała się przed temi niewiastami.

Trzeba przyznać, że kobiety wogóle żywią w sobie gotowość rzucenia się w kierunku szlachetnych haseł; nie dochodzą je-

dnakże zwykle do rzemieślniczej wytrwałości i rutyny w dobrem.

— Trzeba się wziąć do pracy!—Zawołała jednego dnia zwątpiała matka.

Antosia zwiesiła na piersi piękną główkę, następnie podniosła na swą rodzicielkę wielkie czarne oczy, jakby oczekując rozwinięcia zapowiedzianej tezy, nareszcie rzekła:

— Jabym chętnie pracowała; lecz nie wiem, moja mamó, co my będziemy robiły.

— Nie możemy wybierać! — odrzekła matka z pewną goryczą. — Trzeba wziąć taką robotę, jaka się zdarzy.

— Ja umiem jako tako szyć, możeby się dało w ten sposób coś zarobić — mówiła córka,

— Szyć, prac, gotować. Wszystko jedno!... — odpowiedziała Hałastrowiczowa, ożywiona mocnem postanowieniem oddania się pracy.

— O, mnie się życie przykszy w tej bezczynności i ciągłym braku! Gotowam wszystko robić! — mówiła bardzo poważnie Antosia.

Rozpoczęto więc niebawem poszukiwania pracy, a w kilka już dni Antosia znalazła zajęcie w szwalni bielizny męskiej i damskiej przy ulicy Senatorskiej. Naprzód wyznaczono jej tutaj wprawdzie bardzo skromne wynagrodzenie; zawsze atoli był to już jakiś zarobek, ocalający życie przed głodową śmiercią. Swoją drogą Hałastrowiczowa starała się o pracę dla siebie, jednakże bez powodzenia. Z początku wdowa utyskiwała na swoje bezrobocie, później stopniowo zasmakowała w ucześnieczaniu na liczne nabożeństwa i nareszcie przywykła żyć kosztem sił córki, której zdolności do pracy i pilność coraz więcej oceniano oraz lepiej wynagradzano.

W roku 1865 upłynęło prawie dwa lata od przybycia Hałastrowiczowej do Warszawy. Pomimo biedy, wdowa poczęła tyć, wśród czarnych jej włosów pojawiały się pasma srebrnych; jednak dawne pańskie fomy prawie wywietrzały z głowy. Przystojna niegdyś Anielka, zapowiadała już teraz staruszkę o niemilej fizygnomii.

Antosia spowazniała, twarz jej i cała po-

stawa nabrały godności oraz spokoju; rzemiosło szwaczki było widocznie nieodpowiedniem dla tej organizacyi.

Pamiętajmy, jaki był rodowód pięknej dziewczyny; pamiętajmy, że każdy człowiek, oprócz własnego ja, nosi jeszcze w sobie cudze demony. Dziedzictwo cnót lub grzechów drzemie częstokroć spokojnie w głębinach organizmu, gdy dla rozwoju niema odpowiednich warunków. Nad sprawami tego rodzaju nikt nie panuje wolą, tak jak nikt z ludzi nie zarządza prawami życia i śmierci. Otóż, zarówno Hałastrowiczowa, jak i jej córka, odziedziczyły wdzięki ciała, nadto duszę z rozmaitemi zaletami i wadami, a także z następstwami tych wad oraz zalet.

Antosia, jakkolwiek skromne dziewczę, posiadała jednak w oczach pewien wyzywający błysk, który u matki jej w jakimś dwudziestym siódmym czy trzydziestym roku życia miał wyraz prawie cynizmu. Drugim znowu darem spadkobierczym był gatunek uśmiechu, który nigdy męzozynny nie omyli. Niejedna kobieta nie wie, co ją

gubi i pcha na ślizkie ścieżki żywota, a ona nosi ze sobą fatalne talizmany dziedziczności. Wszystko, co swego czasu babka Antosi i matka czyniły kolejno w celu spodoba-
nia się księżętom Zbrojomirskim—ojcu i synowi, przekazało się też mniej więcej samejże Antosi. Ona była istotnie skromną; ale dziwny, ukradkowy sposób patrzenia na mężczyzn i jakiś poufality a dużo obiecujący uśmiech, pędziły tę dziewczynę do zguby moralnej, a raczej pobudzały uwodzicieli pomimo jej woli.

Dodajmy, iż co rozpoczęło odziedziczenie, tego nie usunęła edukacya, jedyny oręż, w walce z potęgami przyrody.

Rozpoczął się zatem ów straszny dla kobiety turniej, w którym gdy ona, bezsilna, pada, zostaje hańbą napiętnowana i traci przywilej oddawania prawych dzieci swojej ojczyźnie.

III.

Antosia — jak już wiemy — chodziła na zarobek do sławnej szwalni przy ulicy Senatorskiej, gdzie jej też z czasem używano jako panny sklepowej, ponieważ była inteligentna i — dodajmy — piękna. Któż nie wie, iż wdzięki niewieście stanowią nieraz dużą firmę?

Pewnej soboty przybył do sklepu jakiś jegomość wysoki, dobrze zbudowany i już szpakowaty; zrobił zaś znaczne zakupy bielizny. Człowiek ten, przez cały czas pobytu swego w sklepie, z takim zajęciem wpatrywał się w Antosię, iż w końcu zwracał na nią daleko więcej uwagi, aniżeli na zakupiony przez siebie towar. Gdy wreszcie zapłacił żadaną cenę, położył nadto przed dziewczyną dwudziestopięciorublowy papierek: „na szpilki, za fatygę”. Ona jednak zarumieniła się i odsunęła pieniądze, mówiąc z naciskiem:

— Mnie się nic nie należy!

A przecież, pomimo rumieńca skromności, mimo niewinnej duszy, Antosia rzucała kilka tych charakterystycznych spojrzeń, które upoważniły gościa do powiedzenia jej wielu komplementów bardzo śmiałych. Nieznajomy jegomość zostawił swój adres na wizytowej karcie i prosił o odesłanie wielkiego pudła zakupionej bielizny, a kiedy wychodził ze sklepu, spojrzał na Antosię bardzo znacząco i rzekł pieśczośliwym głosem:

— Do widzenia, prześliczny kwiatku!

Dziewczyna uśmiechnęła się, może przez ironię; ale uśmiech miał wyraz ośmielający, a gość uważał go jako dobry dla siebie prognostyk. Kiedy z za kantoru spojrzała przez szybę na ulicę, widziała jak ów pan wsiadł do wytwornej karety, ciągniętej przez dwa dzielne kasztany z zadartemi nieco do góry krótkimi ogonami. Kopyta koni, zrywających się do biegu, wydały na twardym bruku odgłos, jakby zgrzyt jakich olbrzymich zębów i kareta w mgnieniu oka zniknęła z przed sklepu.

Antosia, niewiadomo dlaczego, zamyśliła

się, spoglądając wdał na ulicę i miętosząc w rękę bilet wizytowy. Rzuciła okiem na tę kartę i przeczytała napis: „Hrabia Oskar Złotorzecki”. Potem jeszcze przez chwilę o czemś myślała. Nareszcie wyszła z za kantoru, stanęła przed dużym zwierciadłem, zobaczyła w niem siebie i uśmiechnęła się tak, jakby kokietować chciała własną osobę.

Właścicielka magazynu uradowała się bardzo z „dobrego targu” i zaznaczyła uroczyście, iż Antosia ma zawsze „szczęśliwą rękę”. Potem szwaczka usiadła do szycia, a w uszach jej brzmiał pieszczotliwy głos: „Do widzenia, prześliczny kwiatku!”

Nadszedł wieczór, wybiła ósma godzina; dnia tego wypłacono tygodniowe pensye; pracownicy szwalni poczęły składać swoje roboty, wdziewały kapelusze, okrycia, rękawiczki; przytem ta i owa przed zwierciadłem poprawiała toaletę. Antosia ubrała się także, spojrziała w zwierciadło i wyszła. Zaledwie stanęła na ulicy, a już spostrzegła obok siebie owego pana, który przed kilku godzinami kupował bieliznę w sklepie. Pozdrowił ją uprzejmie i śmiało, jakby dobrą

znajomą. Antosia mimowoli się skłoniła, a jednocześnie uczuła zawrót głowy i zdało jej się, że niema ziemi pod stopami — o mało nie upadła. Przyśpieszyła kroku, skręciła na Nowo-Senatorską, przebiegła szybko i weszła pod kolumnadę Wielkiego Teatru; hrabia szedł po przekątnej i spotkał ją przy wyjściu na ulicę Wierzbową, stanął wprost przed dziewczyną. Właśnie co tylko zapalono latarnie; w ich blasku ujrzała Antosia słodko uśmiechniętą, pełną dystynkoyi twarz hrabiego; pośpiesznie odwróciła oczy i puściła się przez Wierzbową; on szedł około hotelu Angielskiego, ona — po stronie przeciwnej, tak, iż przy przejściu na ulicę Czytą znowu się spotkali i znowu wymienili spojrzenia. Odtąd Antosia czuła wyraźnie, że hrabia zdąża za nią, słyszała prawie jego kroki i odróżniała je od kroków innych ludzi. Zwróciła się na Krakowskie Przedmieście, gdzie ścisisk był znaczny, a przeto nie mogła iść prędko; hrabia to szedł obok niej, to się zatrzymywał i znowu ją dopędzał, czasem coś szepnął, zawsze uśmiechnięty, szczęśliwy. Około hotelu Europejskiego

przebiegła przez ulicę, a w czasie tego przejścia miała hrabiego tuż po lewej stronie, nawet uczuła bardzo wyraźnie, iż dotknął jej ręki; woń jakichś miłych pachnideł była od niego. Przy zakręcie na Aleksandryą obejrzała się odruchowo i znowu spostrzegła dobrze sobie już znaną postać prześladowcy. Teraz weszli oboje w ulicę dosyć pustą i on się zbliżył do niej, począł przemawiać:

— Piękny fiołku, nie kryj się przedemną! Antosia milczała, a on znowu mówił:

— Kobieta nie powinna uciekać od miłości, od szczęścia... Kocham cię i znajdę wszędzie moją jedyną! Twoje oczy ściągają mnie do siebie z jednego końca świata na drugi...

Tu dziewczyną poczuła, iż hrabia sięgnął do jej ręki, pochwycił ją i począł namiętnie pieścić w swoich dłoniach, mówiąc:

— Rączka księżniczki — piękna, kształtna, bieluchna, gładka jak aksamit.

Antosia opamiętała się nareszcie, wyrwała rękę z dłoni hrabiego i z chodnika zeszła na sam środek ulicy, dążąc ku Tamce. Nadjeżdżała dorożka, której turkotu nie słyszało oszołomione dziewczę; w uszach miała

jakiś szum nadzwyczajny, a ruchy serca tamowały czynność uwagi i byłaby się już dostała pod konie, pod koła powozu, gdyby hrabia nie porwał jej w swoje objęcia, na bok unosząc. Wtedy to miał on sposobność ustami swemi ust jej dotknąć, a dokonał tego z jakąś dziwną siłą, z gwałtownym szaleństwem, tak, że Antosia, w zupełnej prawie bezwładności i zapomnieniu, na łasce jego być się zdała...

Nareszcie hrabia zwolnił dziewczynę z uścisków, postawił ją lekko na chodniku, a ona zmięta i przestraszona, dobiegła mieszkania swego przy Tamce; wpadła w bramę, poczęła poprawiać zgniezione suknie i włosy, potem pobiegła prosto do drewnianej parterowej oficyny. Prześladowca nie zatrzymał się przed domem, wszedł w bramę i jeszcze raz ją widział znikającą we drzwiach oficyny. Rozpatrzył się uważnie po brudnem podwórku, potem wyszukał stróża domu i począł go badać:

— Kto mieszka w tej oficynie?

Rubaszny stróż ociągał się z odpowiedzią, obserwując nieznajomego i mrużąc coś nie-

zrozumiałe pod nosem; wówozas hrabia wydobyl pugilares i wlozył stróżowi w rękę papierek. Rozwiązało to język odźwiernemu, natyohmiast zdjął z głowy czapkę i pozął wyliczać wszystkich szewców, krawców, robotników różnych, sądząc, iż tu chodzi o dokładność w szczegółowym opisie lokatorów.

— Ależ powiedz mi, kto mieszka w tej oto oficynie na prawo? Zapewne to jakie kobiety, panny, szwaczki? — rzekł z naciśkiem niecierpliwiący się hrabia.

— Rozumiem, rozumiem, jaśnie panie! — zawołał stróż ze znaczącym uśmiechem na ustach. — Ho, ho! Mieszka tu u nas szwaczka z matką; matka, co prawda, stara; ale za to córka — pi, pi, pi! Krew z mlekiem.

— A czy one dawno mieszkają w Warszawie? Kto tutaj u nich bywa? Czy bywają jaocy mężczyzni? Rozumiesz...

— Mężczyzni?... Ej nie!... Bardzo porządne kobiety! O reszcie nie wiem; ale się mogę wywiedzieć, jeżeli nie ja, to moja kobieta.

— No, pamiętaj, żebyś mi wszystko o tych paniach wiedział! Darmo nie chcę od ciebie

przysługi i wynagradzać potrafię; ale przed nikim słówka nie piśnij!

— Kłaniam się do nóg jaśnie wielmożnemu panu! — odrzekł stróż, pochylając całe ciało ku ziemi i w przekonaniu, że tu jedynie tytuł „jaśnie wielmożnego” trafnie zastosowanym być może.

IV.

Pokoik, w którym mieszkała wdowa z córką, był bardzo skromny, ot zwyczajnie, jak mieszkanie na Tamce, za trzy ruble miesięcznie. I to pieniądz, ogromny pieniądz, kiedy się jest biednym.

Na zruinowanej, starej komodzie, przykrytej serwetą ze szarych nici, zrobioną przez Antosię, stała para filiżanek bez uszek, para szklanek, trzy porysowane talerze, salaterka, nóż i dwa widelce; najcenniejszym sprzętem zdawał się tu być stary drewniany zegar, mocno uszkodzony na cyferblacie, wskazówkach i ramach. O ten zegar opierał się kolorowy obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej, w oprawie ze świeżącego szychu. Za czasów nieco lepszych, Hałastrowiczowa spalała przed obrazkiem w każdą sobotę dwie stearynowe świece; kiedy bieda poczynała cisnąć, ofiara ograniczyła się do

jednej stearynowej świecy, a za to wzrosła ilość odmawianych godzinek i litanij; w następnym czasie kultowi owemu poświęcała wdowa już tylko łożówkę; ostatecznie zaś gorzał tu sobotami knotek pływający w szklance, napełnionej po części wodą, po części olejem. Kilka wypłowiałych fotografii kończyło umeblowanie komody. Pomiedzy fotografiami zaś wyróżniała się jedna, przedstawiająca bardzo urodziwego młodzieńca, a opatrzona na odwrotnej stronie napisem: „Kochanej Antosi Hałastrowiczownej dobry przyjaciel — von Molken”; poczem data: „Pałki d. 30 czerwca 1854 r.” Mogła więc Antosia mieć dziewięć lat życia, kiedy jej tę fotografię ofiarowano.

Łóżko w izdebce było tylko jedno, sypiała na niem matka; córka odbywała noclegi na starej ceratowej sofce, na której przetarte pokrycie świeciło białemi plamami. Na ścianie wisiało średniego formatu zwierciadło, pęknięte w gwiazdę. Stara walizka, mająca tylko tu i owdzie powłokę skórzaną na sobie, trzy drewniane stołki i stoliczek kończyły umeblowanie lokalu, będącego sa-

lonem, sypialnią, jadalnią, kuchnią i przedpokojem zarazem. Prócz tego, przy drzwiach wisiała kropielniczka ze święconą wodą, a na kominie znajdował się pogięty pogrzebacz, blaszany samowarek, gliniana miska, drewniane naczynie ze solą, różowe mydełko, pudełeczko z proszkiem do czyszczenia zębów i kilka kawałków suchego drzewa. Jedyne okno przysłaniało się na noc białą perkalikową firanką, zsuwaną na sznurku; stała też w oknie doniczka z krzakiem rezedy, dosyć smutnie wegetującej z powodu braku światła.

Wywieszona w bramie lista lokatorów, w dziale swoim: „Oficyna na prawo Nr. 10” opiewała: „Aniela Hałastrowiczowa—z własnych funduszków”. Atoli funduszków żadnych nie było tutaj, żyło się z tego, co Antosia zarobiła. Zarobek ten zręcznej już obecnie szwaczki wynosił około pięciu złotych dziennie, nie licząc do dni zarobkowych świąt uroczystych i niedziel. Okrom tego, Antosia w zakładzie dostawała obiad, a to z powodu, aby w pracy przerw nie było.

Hałastrowiczowa liczyła z górą czterdzie-

ści lat życia; szybko niknęła jej dawna uroda, tylko stare narowy trzymały się dosyć energicznie; przedewszystkiem nie utraciła kokieteryi, co się dało widzieć w niezmiernej staranności, z jaką codziennie trefiła włosy i podtrzymywała upadające wdzięki. Od próżności nie była też bynajmniej wolną i córka, a jedyne w całym mieszkaniu potłuczone zwierciadło bywało najczęściej zajęte, już przez Antosię, już przez jej matkę. Stosunek pomiędzy temi dwiema niewiastami nie odznaczał się wcale ciepłem i szczerością. Czasem kłóciły się ze sobą, a jeżeli matka bardziej dokuczyła córce, córka płakała; zdarzało się jednak i odwrotnie. Stara wyzyskiwała pracę młodej i pretensjonalnie ogłaszała swoje prawa matki, co zawsze a bardzo naturalnie musi wywoływać buntowniczą reakcyę. Zresztą, Antosia ubierała się daleko skromniej, aniżeli matka, która rozporządzała całym tygodniowym zarobkiem. Urodziwa dziewczyna posiadała tylko krasę młodości i piękności, któremi przyozdabiała każde ubranie. Ona była piękną, choćby nawet rąk nie umyła, choćby

jej suknie świeciły dziurami; brylanty i jedwabie nie podniosłyby jej świeżości lica, połysku oczu, wysmukłości kibici bardziej, niż to czynił zwykły kwiatek lub skromna ale właściwie strój dopełniająca wstążka. Tani kapelusz leżał na pięknej główce tak wytwornie, iż niejedna elegantka dużoby za to dała, aby w swoim ubraniu ostatniej mody wyglądać równie świetnie jak Antosia.

Kiedy dziewczyna, ściągnięta po ulicach przez hrabiego, wbiegła nareszcie do mieszkania, była nadzwyczajnie wzruszona; oczy jej błyszczały niepokojem, a na lica wystąpił silny rumieniec. Czemprowadź z siebie płaszczyk, poprawiła przed zwierciadłem włosy i usiadła na kanapce, nie mówiąc ani słowa do matki, zajętej dosyć pilnie przygotowaniem herbaty.

— Widzisz przecie, że nie mamy bułek do herbaty. — Rzekła dość opryskliwie matka. — Ja już nie mam ani grosza przy duszy. — Była to przymówka do tygodniowej pensyi szwaczki.

— Prawda, prawda! O czem ja też myślę! Zapomniałam mamie oddać pieniędzy. — Za-

wołała Antosia, sięgając do kieszeni, gdzie zwykle umieszczała swój zarobek, zawiązany w węzełku chustki do nosa. Ale nagle dziewczyna zmieniła się nadzwyczajnie, albowiem w kieszeni nie znalazła chusteczki. Porwała się więc z kanapy, przetrząsnęła płaszczyk, obejrzała kapelusz,— nigdzie nie było ani chustki, ani pieniędzy.

— Jezus, Marya! — zawołała rozpaczliwie. — Zgubiłam cały tygodniowy zarobek!... Tyle pieniędzy, tyle pieniędzy! O ja nieszczęśliwa! — I poczęła płakać głośno.

Tymczasem matka zawiesiła swoją czynność gospodarską, podeszła do rozpaczającej córki i wpatrując się surowo w twarz jej, mówiła głosem wyrzutu i szczerzej nagany:

— To już trzeba być prawdziwą niedołęgą!... Jakże ty mogłaś zgubić tyle pieniędzy w takim naszym położeniu? Cóż teraz poczniemy przez cały tydzień?... Chyba pod kościół pójdę zebrać litości.

Antosia czuła się istotnie winną, więc nie odpowiedziała matce tym razem. Naraz przysła jej jakaś myśl do głowy, bo powstała szybko z kanapy i poczęła się ubie-

rać do wyjścia na ulicę, mówiąc w pomieszczeniu:

— Pójdę, poszukam, może jeszcze znajdę! — przytem ścierała ręką łzy obficie spływające po twarzy.

— A idź, idź jak najprędzej! Bój się Boga! — nalegała matka.

Dziewczyna zarzuciła na siebie płaszczyk, wzięła kapelusz, a chociaż była tak mocno strapiona, rzuciła jednakże okiem w zwierciadło.

Kiedy wyszła do sieni, spotkała tutaj stróża, który jej się bardzo nisko uklonił, co nie było w jego zwyczaju.

— Panienska będzie bardzo szczęśliwa. — Mówił stróż domu, Łukasz. — Wielcy panowie o panienkę się dobijają.

Antosia poczuła, że jej krew uderza do głowy.

— Widać ten hrabia dopytywał się o mnie tutaj. — Myślała. — Ciekawam, jak on się też pytał stróża.

Przebiegła całą drogę aż do Senatorskiej, a ciągle miała nadzieję, że znajdzie swoją chusteczkę; sądziła, że ją znajdzie jeszcze,

gdy już powracała; ale nareszcie nadzieja okazała się płonną.

— Ten nieznośny hrabia, tyle mi złego narobił. — Pomyślała w duszy; lecz znowu pomyślała potem: on nie jest bardzo nieznośnym; żebym tylko była nie zgubiła tych pieniędzy.— I jeszcze myślała: po co on mię obnosi w kamienicy? Nie będę tu mogła nikomu w oczy spojrzeć. — Myślała także, że hrabia mówił do niej: „rączka księżniczki”. Tu ukradkiem spojrzała na swą rączkę.

Przeszło godzinę czasu straciła Antosia na poszukiwaniach zgubionej chustki z pieniędzmi; nakoniec strapiona powróciła do matki.

Tego wieczoru Hałastrowiczowa była markotna, rozdrażniona i utyskująca, córka jej—bardzo smutna. Bułki do herbaty wzięto na kredyt w sklepiku, gdzie już i tak wdowa była zadłużona na kilka rubli. Prawdopodobnie w wyobraźni obu kobiet smutno zarysowywała się ich egzystencya w ciągu następującego właśnie tygodnia. I tak przecież ledwie że żyły; teraz nie wiadomo co przyjdzie począć.

Atoli skoro tylko rozpoczęły miłozące picie herbaty, przerywane zagryzaniem suchymi bułkami, gdy zapukano do drzwi izdebki; córka powstała, aby otworzyć i przyjąć przybysza. W otwartych drzwiach ukazała się głowa stróża, Łukasza.

— Czego chcecie, Łukaszu? — spytała Antosia.

— A to, proszę panienki, przysłał tu pan hrabia kogoś z listem. — Rzekł Łukasz, uśmiechając się głupowato.

— Co? Co? Co znowu? — zawołała Antosia, odskakując od drzwi, przestraszona jakoby wspomnieniem hrabiego, z którym stosunek był dla jej matki tajemnicą.

W tejsze chwili wystąpił z za Łukasza wygalowany lokaj, zdjął uprzejmie kapelusz i kłaniając się, podał dziewczynie z uszanowaniem dużą kopertę, opatrzoną złocistym monogramem.

Właśnie i Hałastrowiczowa podeszła w tej chwili do drzwi, kiedy Antosia drżąca ręką wzięła kopertę i wahała się, co ma czynić, podczas gdy stróż z lokajem zniknęli.

— Cóż się tu takiego stało? — pytała matka, robiąc wielkie oczy.

— Nie wiem... nic tego nie rozumiem. — Wyjąkała pomieszana Antosia.

— Od kogóż odebrałaś ten list? Przecież to musisz wiedzieć? — badała ostro Hałastrowiczowa.

Zbliżyły się obie do stołu, na którym płonęła lampka i gdzie się znajdowała niedopita herbata oraz leżały niedojedzone bułki. Antosia pobladła; od listu dochodziła ją ta sama woń, którą czuła na ulicy, kiedy obok niej siedł hrabia.

— To on, ten sam hrabia. Nie ulega żadnej wątpliwości. — Myślała skrycie dziewczyna. Ona chciała to upozorować, zataić przed matką. Przez głowę przesunęła jej się jakaś myśl, więc spojrzała wesoło w oczy swej rodzicielce i zawołała z udanym uśmiechem:

— No, kto to wie, może się zjawia jaki nowy konkurent? Nie będzie ani pierwszym, ani ostatnim zapewne... Zobaczmy! — i z temi słowy rozdarła kopertę, w której, oprócz listu, pokazały się pieniądze — papierek stu

rublowy i drugi — pięć rubli. Co się tyczy listu, ten oórka na głos odczytała matce, brzmiał on jak następuje:

„Szanowna panno Antonino!

Przypadkiem, idąc za panią dziś wieczór, znalazłem białą chusteczkę, a w niej pieniądze. Byłem ciekawy poznać imię właścicielki zguby, przeto szedłem w ślad pani, aż do domu, w którym mieszkasz; na miejscu dowiedziałem się wszystkiego, czego pragnąłem. Obecnie odsyłam znalezioną sumę; ale — jako szczęśliwy znalazca — pozwałam sobie zatrzymać białą chusteczkę ze względu, iż ona należy do jednej z najpiękniejszych, jakie znam, kobiet.

Proszę przyjąć słowa pozdrowienia i gorące uwielbienia.

Oskar.”

— Jaki on delikatnie dyskretny. — Mówiła sama w sobie zadowolniona dziewczyna. — Nic nie wspomniał, że mię ścisnął, że ze mną rozmawiał... — Głośno zaś rzekła:

— Ależ ja zgubiłam tylko trzydzieści złotych!... A tu taka masa pieniędzy!

— To też on resztę przysłał ci za ohusteczkę... Grzeczny jakiś pan. — Powiedziała matka, nabierając odrazu uprzejmości dla córki i wybornego humoru.

— Przecież ja tych stu rubli przyjąć nie mogę! — zawołała ozywiona dziewczyna, uczuwając, iż w tej chwili bierze górę nad matką. — Mogę mu śmiało tę ohusteczkę darować, owszem!... On kupował dziś w sklepie bieliznę i chciał mię za usługę wynagrodzić; ale nie przyjąłem.

— Więc ci teraz podarunek przysłał. To bardzo grzecznie ze strony tego hrabiego, znać prawdziwego pana. Tyś nie powinna być niegrzeczną, trzeba przyjąć! — przekonywała matka, rada pieniądzom. — Zresztą, jakżebyś mu zwróciła te pieniądze; alboż wiesz adres jego mieszkania?

— A wiem, wiem! — rzekła Antosia. — Adres swój podał mi dzisiaj w sklepie, gdy chodziło o odesłanie mu bielizny. Podarunku takiego zatrzymać nie mogę, trzeba odesłać.

— No, no, ja ci dobrze radzę, zastanów się lepiej! Tak jest na świecie; wielcy pano-

wie lubią za wszystko hojnie wynagradzać, a odmowa sprawia im przykrość. Wiem o tem dobrze, wychowałam się wśród wielkich panów...

I tak długo się spierały ze sobą, nawet wtedy jeszcze, gdy córka na kanapie, a matka na łóżku, legły do spoczynku. Antosia wiedziała, że matce chodzi o pieniądze, bo ona z nich głównie skorzysta; Hałastrowiczowa nie pojmowała, jak można zwracać gotówkę, która już wpłynęła do kieszeni.

V.

W niedzielę matka i córka wstały w dobrym humorze. Któż z biednych nie uczuwa zadowolenia, wiedząc, iż ma w kieszeni pieniądze? Kiedy się jest przyciśniętym i gnębionym, kiedy głód z jednej strony dolega, a z drugiej długi spać nie dają, — z gotówką można mężniej stawić czoło losowi. Do wierzycieli można wtedy przemawiać jak człowiek.

Ze zaś wszelki błogostan ducha wyraża się przez sutsze nakarmienie organizmu, przeto mieszkanki Tamki zjadły śniadanie, w którym, prócz tradycyjnej herbaty i bułek, odgrywały rolę produkta nabiałowe: mléko, masło i sér. Po śniadaniu zaś nastąpiło troskliwe przystrajanie ciała w świąteczną toaletę.

Antosia ze stłuczonego zwierciadła wyjęła długi, różnoboczny trójkąt i ustawiła go

wierzchołkiem ku dołowi na grubej, pełnej obrazków książce do nabożeństwa Dunina; poczem, stojąc przed komodą, rozczesywała czarne, zadziwiającej bujności włosy. Tę samą czynność wykonywała matka przed resztą zwierciadła.

Piękne są arcydzieła sztuki, lecz arcydziełom przyrodysztuka nie sprostą. Takiem arcydziełem, pięknem po ludzku, była właśnie Antosia. Przyjrzyjmy jej się w chwili najwłaściwszej, kiedy w lekkim negliżu zaczyna się przyozdabiać w przeróżne drobiazgi, a każdy łachmanek czyni ją ooraż to inaczej piękną. Można ją wziąć za symbol wiosny, miłości, szczęścia lub życia. Nucąc dźwięcznym głosem jakąś piosnkę, starannie umywała ręce. Przez delikatne tkanki gardła przepuszczone powietrze drgało i rozpryskiwało się w szczipłej a brudnej izdebce. Naturalnie, była to prastara pieśń tęskliwej miłości, którą przyroda zapisała na pierwszych stronicach swojej księgi. Antosia była godną piastunką miłości: mogła wabić wdziękami, urzekać, czarować, rozdawać szczęście, rozlewać światło i ciepło

w swojej atmosferze. Lecz ile mogła rozlać kropel tego szczęścia, tyle — zadać ran dotkliwych, tyle razy mogła sama paść pod brzemieniem cierpienia. Bo ile władz ma dusza ludzka, przez tyle kochać można, a wszystkie, co do jednej, mogą być skazane na otchłań cierpienia z powodu miłości. Wiele jest czar życia i w każdej na dzień spoczywa perła miłości; ale nie każdy jest szczęśliwy, kto ją z ozary wychylił.

Ręka Antesi mogła mieć swój kult i apoteozę. Urodziła się widocznie w pieszczotach miłości, była gładka i miękka, jaśniała białością; lecz nie lśniła, zachowywała miły matowy, kojący pierwiastek bieli bez metalicznego połysku. Na rączce tej nie było zanadto ani wypukłości, ani białości. Paznogie były zaledwie dostrzegalnie różowe. Ruchliwe paluszki świadczyły, iż wzrosła w nich ohwytność, element pracy ręcznej; taki wrażliwy paluszek gotów wywierać duchowe wpływy: magnetyzować w objęciu lub wzruszać muzyką. W miłości dzieła takiego paluszka wyprzedzają wszelkie rozumowanie, gdy chodzi o wykonanie lubego aktu uścisku.

Ręce biorą największy udział w wielkich procesach mózgu i serca: w życiu, czuciu, czynach. Więc ozi się rękę matki, szanuje się pocziwą dłoń bliźniego, a składa się wrzący pocałunek na rączce, która ma mi być oddana. Gdyż *oddać rękę*, to znaczy broń złożyć.

Cała Antosia była piękną, ale nie byłaby ona zachwycającą, gdyby nie posiadała precudnej rączki, pięknej w całości swojej — od zakońzeń palców, aż do górnych ramion.

Nasza bohaterka poczęła następnie umywać szyję śnieżnej białości. Tutaj, poniżej czaszki, pokrytej wspaniałemi puklami i splotami warkoczy, mszyły się drobne zwitki włosów, jakby półwłosy, niedające się ująć w większe pierścienie. Antosi słusznie należał się przydomek „pięknowłosa” lub „pięknowarkocza”, albowiem trudno byłoby znaleźć na niewieściej czaszce koronę ozdobniejszą od jej włosów. Szyja, począwszy od kształtnych uszu, cieniowała się przepysznie i jaśniała, niknąc poniżej, jak cudowna tajemnica, a najpiękniejszą była w swoich delikatnych przejściach od owalu twarzy

wzdłuż i w okrąg całej linii, oddzielającej głowę. Podczas rozmowy ta linia okrężna drgała, igrała falą światła, kryła się w półcień, sprawiała na widzu wrażenie czystego strumyka, który spokojnie wody swe toczy około linii brzegowej, okrytej liliami i niezapominajkami. O, jakże piękną była szyja Antosi, nim się na niej ukazał pierwszy równoleżnik zmarszczek, nim wystąpiły południki wychudłych mięśni i żył pokurozonych, jako straszne memento mori!

Dziewczyna, po umyciu szyi, namydliła z kolei rzeczy twarz, zamknęła wtedy wielkie czarne oczy, z których czar dziwny na świat patrzył, — te oczy, co wzruszały powódź marzeń i nieciły płomień namiętności, budziły długą, niezapomnianą tęsknotę. A gdy się czystą obmyła wodą, wilgotna cała stanęła, jak nimfa wodna, z ręcznikiem w ręku przed zwierciadłem. Nie należała ona do rzędu owych aniołów ozerstwych i krzepkich, których wdzięki polegają na bogato rozwiniętych funkoyach życia fizycznego — na zdrowiu oraz pełni sił; przeważał tu pierwiastek nie mięśniowy, lecz —

nerwowy. Taką pokocha każdy, kto miłości pragnie. Jej nos, usta, oczy, zaledwie śmiałybyś nazwać organami życiowego ruchu; były to raczej ozdoby idealnej piękności. Światło łamało się sympatycznie na powierzchniach dziewiczej skroni, gdzie się znajduje punkt niemałej wagi, gdy chodzi o niewieście piękno. Rozliczne odoienie światła płynęły w różnych potokach po całym obliczu. Boską pogodą młodzieńczego czoła uwydatniała się jeszcze i na wypukłości lic, które pod starość kamień życia wytłacza. Na tej kwitnącej twarzyczce młodej kobiety, jak na posągowej głowie Leukotei, wszędzie rozkosznie igrały promienie światła; lecz najwyższy może wdzięk czarodziejski rozlewał się w kącikach ust, gdzie jest siedlisko śmiechu i płaczu. Miała Antosia w życiu swoim tęczową chwilę najwyższego wdzięku, chwilę jasności i błyszczenia. Wdzięki jej lśniły całą potęgą powabów, oko pałało jak poranna gwiazda na pogodnym niebie; w promieniach tego oka odbijało nieco fioleto i purpury zarazem.

Jakże dużo jeszcze moglibyśmy powie-

dzień o innych wdziękach, na które wstydlivość niewieścia zarzuciła lekką tylko i dosyć przejrzystą dla nas zasłonę!

Po umywaniu nastąpiło znowu trefienie i przyozdabianie główki; Antosia zbierała, splatała i spinała lśniące krucze pierścienie włosów. Potem oblekła czystą bieliznę i uwiąziła swoje nadobne nóżki w maleńkich, niezbyt nowych trzewiczkach, które bardzo mozolnie poczęła sznurować. Cały zaś strój dziewczęcia przedstawiał się nader skromnie, wyraźnie znać było ubóstwo: tu i owdzie widniała cera na półczoszoce, łatka na koszuli, a nawet występowały świeże rozprucia, oraz natrętne, a dla widza wielce powabne, przetarte dziurki. Cóż to szkodziło, kiedy i tak była piękną?

Przywdziała nareszcie lekką tarlatanową suknię barwy szarej, upięła ją na sobie troskliwie, rozpatrzyła uważnie powszędy; nałożyła krezkę, zawiesiła na aksamitce mały medalionik, wcisnęła na mały palec cieniutki, jak drucik, pierścionek z niebieskiem oczkiem i była już zupełnie gotową.

Matka ubierała się o wiele dłużej i sta-

ranniej; nie dziw, gdyż braki natury przychodziło tu sztuką wynagradzać. Antosia wzięła tymczasem z komody znaną nam już fotografię młodzieńca, usiadła z nią na stole przy oknie i poczęła się pilnie wpatrywać.

— Moja mamó, ciekawam, co się też z nim dzieje? — rzekła Antosia, nie odrywając oczu od fotografii.

Hałastrowiczowa właśnie wyciskała sobie w palcach jakieś pryszczę około nosa i powstałe ztąd skazy zalepiała różową kitajką; nie zawieszając zaś swej czynności, rzekła:

— Mówisz zapewne o von Molkenie? A Bóg raczy wiedzieć, gdzie on się podziewa; podobno zniknął z Pałek bez śladu.

— Wiele to lat temu, jak on mi się oświadczył i o moją rękę prosił mamy?

— Czekażże — rzekła Hałastrowiczowa, kalkulując. — A to jak raz w przeszłym tygodniu minęło cztery lata, miałaś wtedy skończonych lat szesnaście i byłaś dobrą partya... Błogosławicie jeszcze należały do nas wówczas. — Tu matka westchnęła.

— Niech mi też mama raz szczerze powie, dlaczego wszyscy w ogóle, a mama w szczególności, byliście przeciwni mojemu wyjściu za mąż za niego?

— Bardzom ciekawa, oobyście wy oboje teraz robili?... On goły, człowiek bez pozycyi, nawet bez nadziei jakiegoś stanowiska; przytem wiesz dobrze... — mówiła matka z wahaniem i niepewnością w głosie? — wszakże to znajduch, bękart, a w dodatku nikt nie wie, kto jego ojcem, kto matką... Prosty chłopak z kuchni, Majcherek, został dzięki łasce hrabiny von Molkenem. A czy z łaski wielkiej pani skorzystał? I ja, matka, miałam zezwolić na taki mezalians mojego dziecka?

— Ej, kto tam wie, ile w tem prawdy, co ludzie mówią?—powiedziała smutnie córka.

— No, no, moja kochana, już mnie tylko ufaj! Znam ja świat, ludzi i stosunki. — Zawołała z namaszczeniem Hałastrowiczowa.

— Ja tam nie wiem; ale muszę wyznać, iż równie sympatycznego mężczyzny nigdy już nie spotkałam...

— Ho, ho! Jesteś przecież młoda, możesz spotkać jeszcze daleko sympatyczniejszego.

Rzecz szczególna, iż o hrabi Oskarze i o przysłanych przezeń stu rublach matka z córką wcale nie rozmawiała.

Nareszcie i Hałastrowiczowa ukończyła swoją niedzielną toaletę. Obie kobiety odziały się płaszczykami, ubrały głowy w kapelusze, wzięły do rąk parasolki i poszły na nabożeństwo do kościoła Ś-go Krzyża.

Po drodze matka kupiła Antosi piękny kwiat róży, co wyglądało na zjednywanie sobie serca córki zapewne w sprawie zatrzymania hrabskiego podarunku, dającego jaką taką otuchę polepszenia bytu. Róża była piękna, godna dziewczyny, która ją sobie też przypięła pod szyją.

VI.

Naprzeciwko mieszkania Hałastrowiczo-
wej, a w lewym skrzydle oficyny, zamiesz-
kał był od tygodnia jakiś nowy lokator,
młody, urodziwy brunet. Wychodził on
z domu wcześniej rano, powracał zaś po dzie-
wiątej godzinie wieczorem; wtedy otwierał
okno i grał na skrzypcach. Mieszkańcy
Tamki po największej części należą do gru-
bonerwowych; w tej dzielnicy miasta muzy-
ka nie przeszkadza nikomu do spania; wię-
też jedni przysłuchiwali się owej wcale
przyjemnej muzyce, inni zachowywali się
zupełnie obojętnie, a jeszcze inni spali jak
najśmaczniej.

Kiedy Antosia w towarzystwie matki po-
wracała z kościoła Ś-go Krzyża, dokąd ją
zdążającą widzieliśmy, ujrzała tej niedzieli
po raz pierwszy sąsiada z przeciwnej oficy-
ny; siedział on w oknie, z papierosem w rę-

ku, a przed nim leżała jakaś książka otwarta, w którą młodzieniec wczytywał się dosyć uważnie. Gdy się w oknie czyta książkę nie przeszkadza to spoglądać naokoło, więc i nasz brunet rzucił okiem na idące z wolna od bramy ku swemu mieszkaniu dwie kobiety; oczy jego — naturalnie — spotkały się z pięknymi oczyma Antosi, a ten zbieg okoliczności nie powinien nikogo zadziwiać. Patrzeli sobie wzajemnie w oczy, jedno drugie elektryzowało, czy magnetyzowało, widocznie miała miejsce wymiana, przeniesienie czegoś elektrycznego albo magnetycznego, i Antosia oczy spuściła; sąsiad znowu oczy swoje szeroko otworzył, jakby go ogarnęło zdumienie w połączeniu z zachwyconiem. W mózgu dziewczyny odcisnął się obrazek tego ciemnego mężczyzny z dwoma symetrycznymi wąsikami, ułożonemi na czerwonych, jak krew sama, wargach, — z parą jakby czarnym węglem mocno zaznaczonych łuków brwi i z wielką, kędzierzawą czupryną. Ona uniosła ze sobą ów obraz do izdebki, zniknęła mu we drzwiach przed oczyma, ale także i w mózgu męzkim pozostała nie-

zapomniana fotografia wiotkiej dziewczyny o prześlicznych, czarnych oczach, ciskających iskry z pod przejrzystej białej woalki. I już te obrazki pozostały u każdego z nich dwojga; dziwne obrazki, które się ciągle widzi, bez których miłość byłaby niepodobieństwem. Pod takim wpływem Antosia tembardziej zapomniała o wczorajszych wypadkach i zajściach z hrabią Oskarem; sąsiad zaś przestał z uwagą czytać książkę, zaledwie zdołał udawać czytanie, natomiast oczyma swemi począł bombardować nieustannie w okno sąsiadek. Antosia, wchodząc do mieszkania, tym razem nie spojrzała w zwierciadło, jak zwykle, lecz w okno. Są jednak rzeczy, które niekiedy kochamy bardziej niż siebie. Dziewczyna spotkała się znowu przez szybę ze wzrokiem nieznanego młodzieńca. Szkło nie jest już tak radykalnym przewodnikiem spojrzeń miłości, jak powietrze; ale zawsze i to dobre...

— Jakże tu parno w mieszkaniu! Uf!... — zawołała matka.

— Możeby okno otworzyć?... — Porwała się Antosia, lecz jej wnet przyszło do głowy,

że tego czynić nie wypada, przeto ugryzła się w język.

Hałastrowiczowa od chwili, jak w kieszeni swej czuła kopertę z hrabskim monogramem i zawartością stu rubli, stawała się dla córki coraz słodsza i skłonna do ustępstw; tak i teraz odrzekła pospiesznie:

— Owszem, owszem! Trocha świeżego powietrza nie zawadzi!

Ale Antosia — mimo zachęty i upoważnienia matki — nie spieszyła się z otwarciem okna; ona radaby była, ażeby matka sama tę czynność wykonała. Jakoż Hałastrowiczowa otworzyła okno.

Młody ozłowiek, ujrzawszy w oknie matkę, utkwił wzrok w książce, której z pewnością nie czytał. Takich pierwiosnków wzruszeń idealnej miłości każdy doświadczał; bywają ludzie, co się z okna tylko kochają, a gotowi nie jeść, nie spać, byle w oknie siedzieć i widzieć przedmiot swojej miłości. Sąsiad z lewej oficyny nie wyglądał jednak na ozłowieka, zadawalniającego się kochaniem z okna.

Antosia jakoś nie śmiała usiąść przy otwar-

tem oknie, przechodziła się po izdebce, pozwalając sobie tylko od czasu do czasu ukradkiem spojrzeć naprzeciwko. Właśnie w tych spojrzaniach fatalnych, w owem wabienu spoczywała przyszła dola dziewczęcia. Były to utorowane odruchy, za które odpowiedzialność nie na nią spada.

Tymczasem matka zdjęła godowe szaty, przepasała fartuch, dobyte z koszyczka kawałek mięsa, zajęła się przygotowaniem obiadu. Antosia wzięła w rękę dzbanek i przyniosła wody ze studni, będącej w podwórku; musiała ona więc tam i napowrót przechodzić około okien sąsiada, od których jednak trzymała się zdaleka. Czuła wtedy wyraźnie, że młody człowiek w nią się wpatruje.

Brakowało jeszcze do obiadu soli oraz chleba, Antosia przeto znowu wyszła do sklepiku, a gdy powracała ze sprawunkami, zatrzymała się w bramie przed listą lokatorów i szybko przeczytała: „Ofiyna na lewo, Nr. 13. Lucyan Grzędzicki — technik”.

— Jakże on ma piękne imię — pomyślała w duszy Antosia, a skoro spojrzała w stronę

lewej oficyny, zobaczyła, iż młody lokator wychylił się z okna prawie do połowy swego ciała, obserwując ją w bramie. Silny rumieniec pokrył jej twarz całą, pospiesznie wbiegła do mieszkania.

Oni już się zaczęli kochać. Zajęcia tego rodzaju stanowią zawsze niezbędny wstęp do znacznie poważniejszych faktów.

Lokatorki z oficyny prawej Nr. 10 od samego rana miały zamiar iść po południu na przechadzkę do Łazienek; atoli córka dziś jakos nie nagiła, coś ją przykuwało do domu. I lokator z pod Nr 13 nie myślał powstać od okna, siedział tu, jak przywiązany. A przecież ohyba i on musiał codziennie jadać obiad? Pamiętajmy, iż gorące temperamenta umieją i na oczko kochać.

Matka i córka zjadły rosół, potem—sztu-
kę mięsa z ogórkiem i chlebem. Po obiedzie Hałastrowiczowa zwykła była drzemać trochę na kanapie. Antosia drzemać nie mogła, była silnie zarumieniona, oczy jej pałały, oddech miała przyspieszony, czuła w sobie dziwny niepokój i wzburzenie; wzięła do ręki jakąś starą gazetę, a chociaż nigdy

czytać nie lubiła, teraz udawała, że czyta. Litery skakały jej w oczach. Po niejakiem czasie, niby roztargniona, obojętnie spojrzała przez okno; młody człowiek z zachwytem wpatrywał się w jej prześliczny profil; choć nie choć spiekła raki, a gazeta z rąk jej wypadła. Powstała i zaczęła się krzątać po izbie, robiąc jakoby porządek w mieszkaniu.

Nareszcie obudziła się Hałastrowiczowa, a przetarłszy oczy, rzekła:

— No, jakże, czy idziemy do Łazienek?

— Jak mama chce, wszystko mi jedno. —

Odrzekła córka obojętnie.

— Trzeba iść, bo cóż tu będziemy robiły?

— Ha, więc idźmy do Łazienek! — odpowiedziała Antosia głosem tak donośnym, że słowa te mógł posłyszeć zasiedziały w oknie sąsiad.

Wszystko to są znane sztuki rzekomo naiwnego uczucia miłości.

Jakoż pan Lucyan słyszał bardzo wyraźnie: „idźmy do Łazienek!” On nawet rozumiał doniosłość tego hasła. Porwał się więc czempzędzej, nałożył kapelusz, zamknął okno i zbierał się do wyjścia. Właśnie są-

siadki jego wychodziły z mieszkania, kiedy stał już na podwórku z dziarską miną, w kapeluszu na bakier, trzymając laskę na ramieniu. Dziewczyna spojrzała znowu, raczej błysnęła okiem i oczy jej jakby potknęły się o jego oczy, w skutek czego o mało nie spadła ze schodka; sąsiad z lewej oficyny, stojący na poziomie w całej okazałości, wydał jej się teraz o wiele przyjemniejszym człowiekiem, aniżeli sylwetka jego, siedząca w oknie. Wzrokiem możemy wyrażać nie tylko to, co chcemy; ale maluje się też nieraz w oczach i skryte uczucie, przeto pan Lucyan w spojrzeniu Antosi wyczytał—oprócz dużo obiecującej kokieteryi—pewną ilość wdzięczności.

Kobiety wyszły na Ordynackie, pan Lucyan szedł za nimi; szedł i przez Nowy-Świat i przez Aleje Ujazdowskie. Matka nie wiedziała wcale, że ktoś zdążył za nimi; oórka wiedziała o tem bardzo dobrze i była w wyborzym humorze, szczebiotała, trzepotała się, jak sikorka.

W Alejach Ujazdowskich ścisisk był ogromny, a w takim razie każda kobieta może

się od czasu do czasu obejrzeć bezkarnie i nikt nie powie, że się nieprzyzwoicie ogląda za siebie. Lucyan spotkał po drodze kogoś znajomego, który go przydłużej zatrzymał; wtenczas Antosia poczuła instynktownie, że sąsiad nie idzie za niemi, obejrzała się kilkakrotnie a niespokojnie; była niezadowolnioną, że młodzieniec ma jakichś przyjaciół na świecie, straciła dobry humor i rzekła do matki:

— Usiądźmy trochę, jestem bardzo zmęczona.

Hałastrowiczowa rozważała poważnie kwestyę hrabskiej sturublówki, przeto dobrodusznie odpowiedziała:

— Dobrze! Żeby tylko znaleźć niezajętą ławkę.

— O, tam oto jest wolne miejsce! — zawołała dziewczyna, rzucając się na ławkę, z której właśnie co tylko wyruszyło jakieś towarzystwo.

Kobiety, miloząc, wypoczywały. Niedługo ukazał się w oddaleniu i pan Lucyan; szedł, wyteżając oczy, ciskając przed siebie niespokojne spojrzenia. Antosia widziała wy-

rażnie, iż on jej poszukuje; ztąd też ucuwała bardzo dużo przyjemności. Nareszcie bląkający się tu i owdzie wzrok młodzieńca padł na ławkę; natychmiast więc nastąpiła zmiana wyrazu twarzy; Lucyan udawał, że idzie zmyślony, spoglądał w ziemię; nakoniec podszedł i usiadł na samym brzegu ławki obok Antosi. Dziewczynie serce uderzyło gwałtownie, a krew biła do głowy. Wkrótce jednakże ochłonęła ze wzruszenia, poczęła się bawić parasolką, to znowu poprawiała woalkę, lub naciągała rękawiczkę. Było jej niezmiernie przyjemnie siedzieć w takim sąsiedztwie. Jemu było również dobrze.

— Trzeba iść dalej — odezwała się matka — bo nie zajdziemy dziś do Łazienek.

Wstały przeto i szły znowu, a za nimi postępował Lucyan. Kiedy od ogrodu Botanicznego zeszły na dół, matka uczuła pragnienie, chciała się napić wody; zaledwie przystąpiły do studni, gdzie był natłok ludzi wielki, aż tu niebawem podbiegł sąsiad z oficyny na Tamce, przecisnął się przez tłum i wyniósł dwie szklanki wody. Hała-

strowiczowa wypila duszkiem swoją poroę; ale córka jej ozuła jakby gorącą szklanę w ręce, to szkło przejmowało ją jakimś dziwnym dreszczem; wypila zaledwie pół szklanki wody i zwracając naczynie panu Lucyanowi, ze spuszczonei oczyma wycedzila przez zęby:

— Dziękuję.

— Jakiś grzeczny młodzieniec. — Mówila matka, ruszając w drogę ku parkowi.

Dziewczyna milczala. Spojrzala ona ukradkiem za siebie i spostrzegla wyraźnie, że Lucyan wypil resztę wody z jej niedopitej szklanki; znowu się więc zarumienila, a przez głowę przebiegla jej myśl:

— Czy on aby nie jest na oczo? Zdaje mi się, iż nie miał czasu na zjedzenie obiadu.

Nawiasem mówiąc, trudno powiedzieć, co na świecie jest pilniejszym do załatwienia: głód czy miłość. W Łazienkach odpoczywano w chłodzie, przechadzano się tu i owdzie. Pan Lucyan znowu spotkal tutaj jakieś znajome towarzystwo, które go pociagnęło ze sobą; jednakże tak on jakoś manipulował, że, będąc w innem gronie osób, nie tracił

z oczu Antosi, ona zaś mogła go także widzieć. Obie wszakże kobiety już same tylko powracały na Tamkę, co widocznie niepokoiło dziewczynę. Ale zaledwie weszły w bramę domu, gdy tuż za nimi zjawił się pan Lucyan; Antosi znowu raźniej uderzyło serce.

Iluż to zmianom podlega ludzki organizm, kiedy nań przyjdzie faza, w której czuć miłość, jest obowiązkiem życiowego bytu.

VII.

Niegdyś na karczmie, zwanej Sokolicha, siedział niejaki Idzi Łapczykiewicz, były oficyalista prywatny i wójt gminy, a nadto z młodych lat kolega oraz serdeczny przyjaciel Mateusza Hałastrowicza. Człowiek ten w swoim czasie posiadał podobno sporo pieniędzy, o nabyciu których różnie mówiono, choć nikt dokładnie nie wiedział, ile było owych pieniędzy, gdzie były schowane i w jaki sposób zdobyte. Na Sokolisze pan Idzi sam był szynkarzem i propinatorem. Po okolicy w sferze ekonomów, pisarzy prowentowych, propinatorów oraz szynkarzy cichaczem mówiono, że Łapczykiewicz jest „koronnym złodziejem”, przyczem zwykle dodawano:

— Ho, ho! Mądry to szpak! Głowa nie od parady.

Albo:

Nowele Serya III.

11

— Nie da on się zjeść w kaszy! Zje dyabła, kto go kupi!

Trzeba też wiedzieć, że w różnych zawiłych sprawach urzędników dworskich ze szlachtą, posiadaczami majątków ziemskich, nikt nigdy nie umiał rozżalonemu oficyaliscie dać rady skuteczniejszej, jak Łapozykiewicz. Zjednało mu to olbrzymią reputację w jakim czteromilowym promieniu. Szlachty-dziedziców nie lubiał on, ale nie z powodu jakichś demokratycznych idei; owszem sam o sobie zawsze twierdził, iż jest szlachcicem z krwi i kości. A przecież, pomimo tego, najpospolitszym frazesem w ustach Łapozykiewicza było:

— Każdy szlachcic bestya jest łajdak, gdyby mógł, zdarłby skórę z biednego oficyalisty.

O drobniejszą służbę dworską, jako to: o fornali, parobków, polowych, pastuchów, dziewczki, bynajmniej mu nie chodziło; młóchohem takim pogardzał on i jawnie, i w głębi swej duszy. Był to więc człowiek, służący jednej tylko kaście, uważający wszystkich, będących poza kastą, już jako nie-

przyjaciół naturalnych, już jako narzędzia, dające się użyć do przeprowadzania celów kastowych. Ten trybun ekonomów, gorzelnianych, pisarzy prowentowych, leśniczych, dyspozytorów, i t. d., sam u różnych dziedziców na kilka mil w okolicy posiadał taką opinię, żeby go za darmo nawet nie wzięto do służby; słynął on bowiem rozgłośnie jako zuchwały złodziej, bezczelny intrygant i pieniaoz. Maksyma, którą się rządził Łapczykiewicz, brzmiała:

„Drzej łyka, póki się da”. — Lub: „Kiepien co o sobie nie pamięta”.

Zdyskredytowany pomiędzy dziedzicami, jako oficjalista, musiał on osiąść na karczmie przy gościńcu i stąd wywierał nieubłaganą zemstę względem rozmaitych posiadaczy ziemskich. Celu zaś swojego dopinał przez udzielanie rad i tak zwane otwieranie oczu wspomnianym kategoryom służących dworskich. Należy wszakże wiedzieć, iż miał znaczny respekt dla wielkich panów, którzy trwonili majątki za granicą, lub pozwalali się służbie bezkarnie okradać. O takich mawiał:

„To mi pan całą gębą!” Albo: „Co dom hrabski, to nie szlachecka hołota, tam oficyalista, jak rok długi, pana nad sobą nie czuje”.

Nienawidził też pełnomocników i administratorów, zbyt gorliwych o podniesienie intraty w majątku ziemskim, nazywał ich „hunowotami, którzy sami kradną, a drugiemu się pożywić nie dają”. „Sami opływają, jak pączki w maśle, a innym się obliżać nie pozwolą”.

Kiedy miał anseę do jakiego szlachoića, wykrzykiwał znowu:

— Ten kutwa, ten skrobigarnek, popamięta on Łapczykiewicz!

Łapczykiewicz, to typ ozłowieka, który z niczego dochodzi do wielkiego majątku. I onby był doszedł, gdyby mu w drodze nie stanął przypadek. Właśnie mu się działo jak najlepiej, właśnie miał w ręku sposób zbijania groszy nielada, kiedy — jak sam opowiadał — padł ofiarą ludzkiej zazdrości. Albowiem Łapczykiewicz ostatecznie zajmował się hurtownem przemytnictwem towarów dla kupców z Działoszyo, Pińczowa,

i t. d., był *szwarcownikiem*, mówiąc po krakowsku. Schwytany na kontrabandzie, stracił dotychczasowe swoje zarobki i dostał się do kozy. Kiedy w parę lat potem odzyskał swobodę działania, szczerwany ten lis wyniósł się z okolicy i znowu robił pieniądze, przeziadując to w Kielcach, to w Radomiu, Częstochowie, aż nareszcie przybył do Warszawy. Ale w stolicy trafił i on na takiego, co go potrafił użyć. Wciągnięto Łapczykiewicza w jakieś pozornie ponętne przedsięwzięcie, w którym utopił wszystko co do grosza. Trzeba było więc znowu wziąć się do jakiegoś dzieła, bo zwątpienie nie leżało w naturze owego człowieka.

Rozważając przykre swoje obecne położenie, budując projekta przyszłości, chodził Łapczykiewicz tymczasem do Saskiego ogrodu, gdzie odpoczywał parę godzin w chłodzie, pijał czystą wodę z pompy i przyglądał się światu uważnemi oczyma.

Traf zdarzył, że siedział właśnie w głównej alei, kiedy tamtędy Hałastrowiczowa przechodziła na Żabią ulicę, ażeby nakupić rozmaitych fatalaszków i zmienić sturublów-

kę, którą już uważała na czysto za swoją własność.

Pan Idzi bacznie przyglądał się kroczącej z powagą oraz pompą pani Anieli, potem przetarł sobie oczy, przypatrzył się jeszcze lepiej, uderzył się w kolano dłonią i rzekł do siebie:

— Dalibóg, nie mylę się, widzę jak raz przed sobą Anielkę Hałastrowiczkę, moją kumę!

I rażno puścił się w pogoń za wdową, a podszedłszy blisko, zdjął dwornie czapkę i wśród nieustannego szastania tak przemawiał:

— Zapewne kuma dobrodzika nie poznaje już dzisiaj starego... Przypominam się! Do usług pani Anieli Łapczykiewicz, przyjaciel nieboszczyka Mateusza!... Trzymaliśmy przecież Brykalskim oboje do ohratu syna!

Z temi słowy Łapczykiewicz cmoknął Hałastrowiczową w rękę raz jeden, drugi i trzeci, a nie dając jej się opamiętać i przyjść do słowa, zawołał znowu, rozkładając szeroko obie ręce:

— Ależ mi pani kuma prześlicznie wygląda!... Rozkosz, jak Boga Kocham!...

Wdowa, uradowana, że jej ktoś powtarza dawno niesłyszana pochwałę wdzięków, uśmiechnęła się, jak tylko mogła najpoważniej, mówiąc:

— Gdzieżbym znowu mogła zapomnieć pana Idziego!... Dobrych przyjaciół ma się tak mało, że człowiek nigdy o nich nie powinien zapominać.

Te słowa wyszły z ust bezmyślnie; ale Hałastrowiczowa chciała im nadać pewien sentymentalny urok, przeto westchnęła.

Łapczykiewicz szedł obok niej, fertał się i przeginał na wszystkie strony; snadź w duszy jego powstała idea zalecania się do wdowy, bo głosem niezmiernie zmiękczonej prawil:

— Już to prawda święta, że kuma zawsze słynęła z piękności!... Co to było niegdyś, panie dobrodzieju, ho, ho! Najpiękniejsza bobieta w koronie polskiej!... A teraz, do krośset palaruszków, bogini!... Jak Boga Kocham — bogini!... — I znowu, niby rozczu-

lony, porwał rękę Hałastrowiczowej, przycisnął do ust długo, gorąco.

Pani Aniela uśmiechnęła się z lubością, wspomniała sobie dawne czasy i ożyły w niej stare organiczne nałogi oraz uczucia.

— A cóż kochany kum porabia tutaj w Warszawie?—zapytała niezmiernie słodkim głosem.

— Eee, dużoby o tem mówić!... Toć tu zamieszkałem, pracuje się, panie dobrodzieju!... Człowiek, jak palec — sam jeden, życie takie zbrzydnie oto... Po co pracować, dla kogo?..

Była chwila milczenia, Łapczykiwicz głęboko westchnął, Hałastrowiczowa przyłożyła chustkę do nosa, patrząc w ziemię. Kto wie, co się działo w tych dwóch niezmiernie ciekawych duszach ludzkich? Pan Idzi pierwszy przerwał:

— Jak to dobrze, panie święty, jak to dobrze, żeś dziś przyszedł do Saskiego ogrodu!.. Ktoby się spodziewał, iż ujrzę moją kumę? Czasem o człowiek miewa takie natęgnięcia. I ja od samego rana dzisiaj byłem jakiś wesóły, miałem przecucie szczęścia!

Ale gdybym nawet skarb wielki znalazł, jeszczeby to mniej miało dla mnie wartości...

Tu Łapozykiewicz wywrócił cudacznie oczyma; nie potrzebujemy zaś dowodzić, iż wierutnie skłamał. Poczem dodał jeszcze:

— Miało się czasy, miły Boże!... Było się młodym... Alboż to raz biło mi gwałtem serce, gdym się zbliżał do pięknej kumy, pani Anieli? Pamiętałem tylko zawsze o tem, że Mateusz był moim przyjacielem... Ale czym ja mu nie zazdrościł jego skarbu?... O, bo kobieta, to skarb, jak Boga Kocham!

— Ej, panie Idzi.. Byłeś zawsze komplementystą, pochlebiałeś kobietom, bałamucie, i nie oduczyłeś się tego... Który tam z was powie kiedy prawdę? — mówiła odmłodzona wdowa, przymrużając oczka, a jednocześnie wabiąc tym uśmiechem, który u Antosi występował bezwiednie, u matki zaś stanowił narzędzie woli.

— Tak, tak, dobrze kuma powiedziała! Pochlebiać lubiłem i lubię, ale przecież nie każdej; o, tak mi Panie Boże dopomóż — nie każdej! Kobiet zna się krocie, lecz nie dla wszystkich człowiek ma serce...

Rozmawiając na ten temat, pan Idzi i pani **Abiela** doszli nareszcie do ulicy **Żabiej**. Tutaj wdowa wstępowała kolejno do różnych sklepów, zakupując koronki, tiuliki, falbanki, wstążki, chusteczki, tasiemki, nici, guziczki, i t. d. **Łapczykiewicz** nie opuszczał jej na chwilę, wtrącał się do kupna, przemawiał w interesie swej towarzyszki, a przytem wykazywał dużą znajomość rzeczy oraz gust w doborze wspomnianych towarów. Jedna atoli okoliczność szczególnie zwróciła jego uwagę, mianowicie też — posiadanie przez **Hałastrowiczową** znanej nam **sturublówki**. **Papierek ów** został w tym dniu pamiętnym zmieniony na drobne, któremi szczęśliwa posiadaczka monety wypohala sobie niepospolicie woreczek.

Idzi Łapczykiewicz miał zawsze nieprzeparty pociąg do pieniędzy; gdy je czuł o kogo, musiał koniecznie coś wyłudzić, wycyganąć. **Hałastrowiczową** wziął on odrazu na afekt, a spostrzegłszy u niej pełny worek, zdwoił usiłowania. **Wdowa** zaprosiła go do **cukierni** na kawę, gdzie też miał dobrą sposobność zaproponowania pożyczki i na po-

ozątek wyłudził dziesięć rubli. Potem oboje przeszli znowu przez Saski ogród i nierozłączni przybyli do lokalu Nr. 10 na Tamce. Łapczykiewicz wszedł jakby do własnego domu, rozejrzał się uważnie po sprzętach, a na twarzy jego odbiło się coś niby uczucie przykrego zawodu. Bez względu na to jednak, nie przestawał on okrywać pocałunkami obu rąk „prześlicznej kumy, pani Anieli”; co więcej, posuwał się nawet do obejmowania kibici. Kuma lekko tylko jedną ręką oddalała natrętne ramiona, mówiąc:

— No, no, panie Idzi, nie można się zapominać...

Albo:

— Cóż to znowu ma znaczyć?

Na co Idzi odrzekł:

— To znaczy, że pani Aniela jest bardzo piękną osobą.

I znowu powtórzył czynność obejmowania.

Wśród tej zabawy Łapczykiewicz istotnie zapalał miłosnym afektem; dyabeł rozpalił ogień w dwóch starych piecach, a wdowa

okazywała coraz mniej wstrętu do pieszczoł; nareszcie nie oburzała się wcale, nie odpychała już rąk i ust Idziego, chociaż stawały się do najwyższego stopnia natrętne.

Łapczykiewicz był obrosły na twarzy i głowie włosem podobnym do zajęczej sierci; były tu różnobarwne kosmyki; siwe jego, chytre oczy, biegały niespokojnie i zaświeciły blaskiem pożądliwości; na twarzy zmarszczonej ukazały się tu i owdzie wy pieki, a na czole oraz nosie błysnęły krople potu. Był to mężczyzna średniego wzrostu, barczysty oraz żylasty.

Usiadł on teraz poufale na ceratowej kanapie obok matki Antosi, brał nieustannie obie jej ręce w swoje dłonie, pieścił, przycisnął do ust swych i do piersi; prócz tego, wymierzał pocałunki w usta, oczy, w szyję, poniżej szyi.

Hałastrowiczowa już oniemiała prawie, czasem obciosa coś mówić, lecz głos uwiązał jej w gardle, zaledwie wargi drgać zdołały; zamknęła oczy, gdy pan Idzi przycisnął jej głowę do swych piersi. Była blada, a pot spływał jej z czoła obficie. Kobieta ta zo

stała już najzupełniej opanowana przez Łapczykiewicza...

Pozyskała sobie przeto Hałastrowiczowa amanta, który się zwięził do domu, wglądał we wszystkie interesy gospodarstwa, a zarazem dopomógł wdowie do prędkiego roztrwonienia sturublówki. Z tych pieniędzy zaledwie się okroiło dla Antosi na trzewiki. Za to pan Idzi rozkochał w sobie matkę i w tym kierunku robił wszystko, na co stać było niską naturę tego wydrwigrosza.

VIII.

Wszystko szło naturalnym porządkiem, więc niema w tem nic dziwnego, iż nareszcie Lucyan Grzędzicki, młody technik z fabryk na Solcu i znany nam Idzi Łapozykiewicz odwiedzali przez czas jakiś stale lokatorki z prawej oficyny na Tamce. Córka sprzyjała pierwszemu, matka — drugiemu. Ale i zuchwały pretendent, hrabia Oskar bynajmniej nie wyrzekł się swoich zamiarów względem Antosi. Był to rozpustnik, który, jeżeli osobiście nie zdołał osiąść upatrzonej zdobyczy, umiał organizować przedsiębiorstwo, dopóki nie postawił na swoim; rzucał pieniędzmi, a w takich razach wszędzie się znajdują ludzie gotowi do usług. Kapitał powołuje zawsze dużo rąk do kooperacyi.

Na Antosię uwziął się hrabia i postanowił ją osiąść za jakąbądź cenę. W dziełach te-

go rodzaju używał on do pomocy pewnej podzyłej już niewiasty, która dorabiała się fortuny na wielkich panach, a w rzemiośle frymarki wdziękami istot płci własnej. Nie mówi się rzeczy nieznanych — są to fakta.

Pani Róża Fliegengarnowa w zawodzie swoim okazywała nadzwyczajną sumiennność i wielki rozum, podejmowała się najwięk-szych trudności i, jeżeli jej tylko dobrze płacono, rozwiązywała zadanie szczęśliwie. W domu swoim utrzymywała wystawny salon, gdzie przyjmowała przeważnie ludzi z krwią niebieską, o ile jeszcze jeździli ka-retami i mieli ozem płacić. Stary kult miło-ści, niby to w ukryciu przed oczyma świata, staczał tutaj walkę z organizacją monoga-micznej rodziny, a zaprawdę nie brakowało mu snadź otcicieli, skoro kapłanka jego cią-gnęła zyski, nie mogące iść w porównanie z zarobkami kapłanów nauki i moralności. Bo tylko niemoralność się opłaca; wielkie dusze żyją na świecie bez wynagrodzenia.

Odwiedzający ów salon mógł przeglądać kolekcję fotografii pięknych niewiast, a gdy uwaga jego zatrzymała się przy jakiej hu-

rysce, wtedy Fliegengarnowa nie omieszkała zapytać:

— A co — prawda, że to bardzo piękna kobieta?

Jeżeli otrzymywała odpowiedź potwierdzającą, to reszta stanowiła tylko rzecz ugody, bo te fotografowane wdzięki w rzeczywistości były towarem. Szkoda, że uroda i młodość, takie istotne piękna, sprzedają się także!

Róża Fliegengarn była firmą, a firma nie tylko zbywa, ale i nabywa towar. Generalnym agentem ofiar miłości tego rodzaju jest głód, a wszyscy ludzie żyją tylko dla zaspokojenia miłości oraz głodu. Głodni sprzedają miłość i wtedy nasyчени odprawiają triumf nad głodem, który jest rządem i prawidłem świata. Szwalnie, magazyny mód, poddasza, sutereny i facyaty, przedstawicie swoje dokumenta i oskarżajcie straszną tyranję głodu! .. Wśród cierpień bezmiernych, w torturze wije się ludzka istota, a głód jej wtedy dyktuje: „sprzedaj jeszcze to, co posiadasz, bo cię nie wypuszczę z moich objęć kata!” A jednak ci, co się nasyčili rano,

uczują jeszcze przez dzień cały wobec tych, którzy nie jedli.

— Daj mi jeść!...—Mówi głodny do sytego.

— Dobrze; ale mi za to oddasz siły, urodę, cnotę, moralność, zdolności.

Oto jest fundament rzemiosła Fliegengarnowej i spółki.

Hrabia Oskar polował jakiś czas osobiście na Antosię; ale takiemu dobrze urodzonemu człowiekowi uwłacza jednak afiszowanie się w pogoni za szwaczką. Daleko prostszym sposobem było pomówić w tej kwestyi z Fliegengarnową. Jakoż jednego dnia przybył do niej i tak przemówił:

— Moja Różyczko, rób co ci się podoba, bylebyś pozyskała dla mnie młodą a prześliczną dziewczynę, szwaczkę, która ma fatalne nazwisko — Hałastrowiczówna; ale za to wygląda jak księżniczka... Jestem w niej rozkochany. — Przy tych słowach hrabia bez ceremonii wyciągnął się na fotelu jak długi, zamknął oczy i w nasadzonym na tył głowy cylindrze, postanowił po spowiedzi swych uczuć wysłuchać kompetentnych rad oraz planów.

— No, no, cóż to znowu takiego się stało? Jeszczem też nigdy nie widziała, żeby mój hrabia był kiedy tak zajęty dziewczyną. To już musi być coś istotnie osobliwego!

— Powiadam ci, Róziu, prześliczna, Gracya chodząca, westalka, niczem wszystkie posągi pięknych kobiet!—odpowiedział hrabia, nawpół otwierając oczy.

— A cóż hrabia robi z Minutką?... To także piękne stworzenie.

— Minutka mię już rozpaczliwie znudziła... straszne ciele!...—Tu hrabia ziewnął.— Dzisiaj mię zajmuje tylko Antosia, o niej jedynie myślę.

— Ha, ha, ha! — roześmiała się Fliegen-garnowa. — Domyślam się, że ta sprawa będzie hrabiego drogo kosztowała.

— O, ty się przedewszystkiem zawsze tego tylko domyślasz!... Ale palcie sęk, niech kosztuje, co chcesz! Przecież na jedną kobietę się nie zruinuję, choćbym jej pałac nawet wystawił taki, jak Łazienki. Tylko się śpiesz, Róziu, bo mi kto może dziewczynę wzięć z przed nosa. — Hrabia zaroił się na fotelu, jakby mu ta myśl sprawiała wielką

przykrość. — Jeżeli ty mi jej nie zjednasz, gotów jestem dopuścić się skandalu, porwać ją z ulicy, lub z domu...

— A to cudowne, dalibóg!... Dawno hrabia tak nie śpiewał, chociaż się znamy już lat tyle. No, a gdzież mieszka ten ananas?... Czy aby nie na Pradze?

— Nie, ale prawie na to samo wychodzi, bo na Tamce. Zapisz sobie adres! — I tu hrabia podyktował ulicę, numer domu oraz szwalnię bielizny, dokąd Antosia ochodziła na robotę; poczem ziewnął znowu, zapalił papierosa i zabierał się do wyjścia.

— Czy to pan hrabia nie myśli dać zaliczki na kosztą?... — zawołała Róża Fliegen-garn. — Przecież ja nie mogę na takie rzeczy forszusować. Zkądżebym wzięła?

— Ileż ci potrzeba? — zapytał hrabia, nie odwracając się od drzwi, których klamkę już ujął.

— A święty Bóg raczy wiedzieć, panie hrabio! — rzekła Róża, zachodząc mu z boku od strony pugilaresu. — Kto chce jeść w zimie szparagi, ten wie lepiej odemnie, ile

one są warte. Może to jaka narowna dziewczyna, za nic jej kupić nie będzie można...

— Róziu, nie waz mi się tak mówić; tym razem wyraz *nie-można* jest głupio użyty... Cóż to, czy ja nie mogę kupić i zapłacić tego, co mi się podoba?

— A wiem, wiem; niech się pan hrabia nie sroży! Mnie o to nie chodzi; ciekawa tylko jestem, jaką sumą będę rozporządzała, ażeby nie spotkać żadnego *nie-można*... Bo tutaj wszystko zależy od *baares Geld*... — Trzeba było widzieć nikczemny uśmiech Fliegengarnowej przy tych słowach.

Hrabia wyjął z pugilaesu grubą paczkę banknotów i oddał Rózi, która, oceniając w palcach ilość otrzymanych pieniędzy, rzekła:

— Ta Antosia z Tamki będzie dopiero szczęśliwą, hojny hrabia pewno nie poskąpi dla niej ani na stroje, ani na powóz. Cóż tam ja, biedna kobieta, mogę się i bez dorożki obejść! Piechotą sobie pójdę na Tamkę.

Hrabia spojrział na Fliegengarnową wzrokiem, w którym malowała się niecierpliwość

i pogarda, poczem dołożył jej jeszcze kilka rubli, mówiąc:

— Proszę cię, moja Róziu, mów do mnie o Antosi inaczej, niż mówisz o wszystkich swoich zwykłych sylfidkach... Daję słowo honoru, że gdybym miał sposobność starania się w inny sposób o względy tej dziewczyny, nie użyłbym nigdy twego pośrednictwa. Jest to dla mnie wstrętne...

— Masz dyable kaftan! — wykrzyknęła Rózia. — Kubek w kubek to samo słyszałam z ust hrabiego przed półrokiem, gdy chodziło o miluchną francuzeczkę, Minutkę; a dawniej jeszcze podobne kazanie powiedział mi hrabia, poznając się z Malcią... Przed Malcią zaś — mówiła z naciskiem — zjednywaliśmy sobie, o czym pan hrabia musi pamiętać Tiutkę, za którą Rózia o mały włos nie dostała się do kryminału...

— Milecz! — rzekł ponuro hrabia Oskar.

— A czy ja nie mileczę? Czym skompromitowała hrabiego przed sądem? Pary z ust nie wypuszczę; ale przecież żyć muszę przy ciężkiej pracy, bronić się przeciw ludziom.

— Zapłaciłem ci za milczenie, ile sama chciałaś!... Po co te przypomnienia?

— Mój hrabio — mówiła Fliegengarnowa patetycznie. — Przecież ja z łaski twojej mam wieczny strach przed sądem bożym i ludzkim; hrabia wskazujesz mi tylko, kto ci się podoba; ale za mną rzuca się w pogoń cała zgraja ojców, matek, braci, sióstr, ciotek, krewnych i przyjaciół. Prawda, że człowiek zawsze jakoś wypływa, jednak tylko dzięki monecie. Ja więc dużo potrzebuję pieniędzy... Nie gniewaj się, hrabiuniu, i dodaj jeszcze kilka rubli.

Rozmowa ta zdekoncertowała hrabiego; odstąpił kilka kroków od drzwi, stanął w oknie i utkwiał nieruchomy wzrok w pogodnym niebie, podczas gdy Różia, jak kot, łasiła się około niego. Obejrzał się, popatrzał na nią i mruknął:

— To prawda, że jesteś mądra, jak wszyscy dyabli, razem wzięci!... Sądu bożego ty się nie lękasz, a musi już być bardzo źle na świecie, skoro cię dotąd jeszcze nie zamknięto.

— Robię dzisiaj, panie hrabio, tylko to

co w moich młodych latach zrobiono ze mną. Ja także miałam swoją własną Fliegengarnową i własnego hrabiego... Byłam Antosią, Minutką, Malcią, Tiutką, zanim zostałam... tem, czem one zostały. Kochano mię, a później mną gardzono; ale za waszą wzgardę musicie mi płacić tak samo, jak za miłość... Prawdę mówiąc, ja wzgardę wolę.

— Do czegoż zmierza ta komedia? — zawołał hrabia zniecierpliwiony.

— Do kieszeni twojej, panie hrabio!... Przez usta moje, twój ideał, Antosia woła: pieniędzy!

Hrabia znowu sięgnął do pugilaresu, wyjął resztę banknotów i rzucił je Rózi, która uklęknęła na ziemi i z powagą zbierała porzrucane papierki, mówiąc:

— Ja jedna wiem dobrze, iż w Warszawie mało jest świętych kobiet, zwłaszcza też, jeżeli są piękne.

— Kiedy mi zdasz sprawę ze wszystkiego, coś zrobiła w moim interesie? — pytał hrabia, znowu się zabierając do wyjścia.

— Sprawozdanie może być dziś jeszcze wieczorem, jutro rano i codziennie, gdyż

ciągle się coś robi dla interesu: najprzód układam plan, później go wykonywam; śpieszyć się nie należy, jeżeli chodzi o działanie na pewno.

— Więc kiedyż się z tobą zobaczę?

— Za parę tygodni, panie hrabio, za jaki miesiąc!

— Do widzenia!

— Jeszcze słówko, hrabiuniu — rzekła Fliegengarnowa, powstając z posadzki, gdzie zbierała banknoty. — Możebyś przejrzał świeże fotografie; kto wie, czy inna jaka nie zerwałaby tymczasem tęsknoty i nie skróciła czasu rozkochanemu sercu. Antosia nam nie zginie.

— Nie chcę! Daj mi pokój! Adieu.

Wtedy Różia poskoczyła ku drzwiom, chwyciła rękę hrabiego i mówiła błagalnym głosem:

— Taki był upał dziś od rana, zlituj się hrabio, umieram z pragnienia, przyślij mi z dziesięć pomarańcz... Dobrze? Teraz zapominasz o mnie, dawniej inaczej bywało.

— Przyślę — odrzekł oschle patrycyusz.

— I buteleczkę reńskiego... mój jaśnie

wielmożny... dla twojej służebnicy i niewolnicy, Rózi.

— Dobrze!...— zawołał najzupełniej zniecierpliwiony hrabia, oczemprędzej zamykając drzwi za sobą.

Teraz pani Róża Fliegengarn bardzo troskliwie przeliczyła pieniądze, dobyte z szafy piękną, kosztownie oprawną szkatułkę i, odłożywszy sobie kilkanaście rubli na bok, resztę umieściła pod kluczem.

— Trzeba tę sprawę z Antosią przedłużyć i dobrze pociągnąć jaśnie pana. Oj, żebym ja tak była tą dziewczyną, miałaby on się zpyszna, oskubałabym szelmę do ostatniego piórka!

IX.

Po rozmowie z hrabią Oskarem, Fliegen-garnowa, przeczekawszy kilka dni jeszcze, rozpoczęła łowy z naganką na Antosię. Najprzód więc zebrała wszelkie wiadomości niezbędnie potrzebne w takich razach; dowiedziała się dokładnie, jaki jest stan za-možności wdowy; zbadala, jak dawno i z kąd matka z córką przybyły do Warszawy; wy-śledziła, ile Antosia zarabia w szwalni, a ile jej i matce potrzeba na utrzymanie; wyegza-minowała troskliwie właścicielkę sklepiku wiktuałów w sąsiednim domu na Tamce, z czego wypadło, że Hałastrowiczowa po-sługuje się bardzo często kredytem, — że więc ma długi, które wzrastają nieustannie, jakkolwiek w małych ratach bywają od cza-su do czasu spłacane. Nadto z przeprowa-dzonych badań i z rozpatrzenia sprawy po-kazało się także, iż szwalnia przy ulicy Se-

natorskiej pozostaje w niejakiem stosunkach z domem handlowym Fliegengarnowej, a to mianowicie za pośrednictwem jednej ze współpracowniczek zakładu szycia bielizny damskiej i męskiej, panny Klotyldy.

Ta panna Klotylda, licząca około dwudziestu pięciu lat życia, była powabną osobą; miała ona okazałą budowę ciała, zdradzającą skłonność do tycia i z tego powodu pewna rozkoszna pulchność zaległa rozmaite okolice jej organizmu. Lekko poczynił się już wysuwać z pod brody uroczy podbródek, który jednak wcale nie szpecił Klooi, jak ją nazywano w zakładzie szycia bielizny; owszem, podbródek harmonizował wybornie z całą twarzą: z małemi, zawsze wdzięcznie uśmiechniętymi usteczkami, które się otwierały jak korona róży, ukazując ząbki podobne do pączków konwalii; a i małe rączki, niby poduszcзки z białego aksamitu, odpowiadały okrągłością podbródkowi. Klooi była blondynką, miała niebieskie oczy, pełne jakiejś rzewności i wilgotne; bujne włosy zaczesywała z przodu i z tyłu ku górze, spinając je u wierzchołka głowy w bu-

kiet niejako. Dziewczyna owa ubierała się codziennie z wielką starannością, a w święta uroczyste nosiła na sobie stroje wykwinne. To pewna, iż przeszło od pięciu lat pozostawała w zażyłych stosunkach z Różą Fliegengarn, z czego zdawała się być bardzo zadowolnioną.

Pewnego wieczora Klocia, powróciwszy ze szwalni do domu, zastała list od Fliegengarnowej, a był on następującej treści:

„Moja droga Janeczko! Przybywaj do mnie zaraz i tak, jak wyszłaś z zakładu, nie potrzebujesz się przebierać, bo nie o to chodzi, co wiesz; mam do ciebie pilny interes, który ci na miejscu opowiem.

Życzliwa Róża.”

Szwaczka więc natychmiast pospieszyła do Fliegengarnowej, bijąc się po drodze z myślami, o co tu może chodzić, jeżeli nie o to, o czem ona wie, — jeżeli jej się strojnie ubierać opiekunka nie każe... Należy zaś dodać, że Klocia figurowała także w zbiorze fotografowanych piękności pani Róży, a fotografia jej, wykonana u Mieczkowskiego, nosiła nazwę Janiny lub Jańci.

Skoro tylko panna Klotylda weszła do salonu i usiadła na krześle, nie zdejmując z głowy kapelusza, Fliegengarnowa poczęła ją niebawem badać:

— Powiedz mi, Kloteczko, czy pracuje z tobą w szwalni jaka Antosia Hałastrowiczówna?

— Antosia, Antosia... — mówiła Klocia, widocznie niechętna dla każdej współzawodniczki w piękności.— O tak, jest tam u nas jakaś Antosia Hałastrowiczówna; ale, Boże kochany, co to za figura!... Wygląda jak stara miotła. Wierz mi, moja mateczko, z tej jagódki nie będziesz miała pociechy!

— A co mię tam obchodzi, jak ona wygląda! Niech sobie będzie brzydka; ale ponieważ ją znasz osobiście, więc możesz mi oddać przysługę... Widzisz, Klotuniu, chciała-bym, żeby tu kiedy z tobą ta Antosia przyszła.

— Ej, cóż znowu! Ja tam pani nikogo stręczyć ani sprowadzać nie myślę. Jeszcze taką lalę, jak ta Antocha... — odrzekła Klocia z buntowniczym nastrojem umysłu.

— Ha, moja córeczko, to szkoda, że nie

ohcesz w bardzo łatwy sposób zarobić ze dwadzieścia rubli. — Rzekła poważnie Fliegengarnowa. — Bo ta Antosia spodobała się jednemu hrabiemu, który może bardzo dobrze za swą miłość zapłacić.

Klocia się zadumała, jakby rozbierała w myśli korzyści własne z przedstawionego sobie projektu, potem zaś rzekła:

— Ja z tą Antosią wcale nie żyję, nie wdaję się... Takie to do niczego, dziamdział... Boże się pożał, ledwie tam igłą trochę kłuć umie.

— Cóż nam to wszystko szkodzi? Ja wiem tylko, że ją sobie upodobał hrabia. Niech ona będzie do niczego; ale skoro za nią płacą...

— Co prawda, potrzebuję właśnie kapelusza i przydałyby mi się te dwadzieścia rubli. — Rzekła z uśmiechem szwaczka.

— A widzisz, Kloteczko!... Pomyślno, rybko, dobrze nad tym interesem. — Mówiła znowu Róża.

— Ej, moja matusiu, bo to najgorzej mieć do czynienia z oielęcina, a Antosia jest właśnie najgłupsze na świecie oielątko.

— Kiedy tak, to dobrze, weź cielątko na sznurek i przyprowadź tutaj do żłobu. — Odpowiedziała Fliegengarnowa, śmiejąc się z własnego dowcipu.

— A pani je już od żłobu potrafi sama na rzeź poprowadzić. — Odpowiedziała Klocia. — Zobaczę, może się to i da zrobić. Więc do widzenia!

— Adieu, moja córku!

Nazajutrz Klocia zwracała już w szwalni baczną uwagę na swoją koleżankę Antosię, od której dotychczas dosyć starannie stroniła. Podczas pracy przemawiała do niej kilka razy, zawsze bardzo przyjaźnie i uprzejmie, przy wyjściu zaś z zakładu pomagała jej w ubraniu. Na ulicę wyszły obiedwie, gwarząc po przyjacielsku.

— Panno Antonino — mówiła Klodylda — mogłybyśmy użyć przechadzki; czy zgoda? Pracujemy w ciężkim zawodzie; wiem od jednego lekarza, że dłuższa nawet przechadzka jest niezbędną dla zdrowia szwaczki.

Antosia ze zdziwieniem niemem wysłuchiwała swej towarzyski, która po raz pier-

wszy zdradzała jakąś przychylność dla niej, rzekła więc:

— Owszem, bardzo chętnie przejdę się z panią cokolwiek; ale, wyznać muszę, niewiele mam czasu, bo muszę sobie w domu dokończyć jeszcze robotę nowej sukni. — W duszy zaś pomyślała: „pilno mi zobaczyć pana Lucyana, który zapewne przyjdzie do nas na wieczór”.

— Jakto, więc pani jeszcze i po nocach nad igłą ślęczysz?... — pytała Klocia.

— Ha, cóż robić? Innej rady na to niema; zarabia się zbyt mało, żeby sobie można było kupić gotową suknię, lub oddać materiały do roboty.

— Czy pani nie znajduje, panno Antonino, że nas w szwalni ogromnie wyzyskują? Z tego, co zarabiamy, ledwie licho wyżyć można, a przecież młoda kobieta i ubrać się także musi.

— To prawda, jednak, gdyby się i tej pracy nie dostało, byłoby jeszcze gorzej, przynajmniej mogę tak o sobie powiedzieć.— Odpowiedziała Antosia.

— Cóż taka praca warta, jeżeli po cało-

dziennym trudzie trzeba jeszcze koniecznie dorabiać? Jaby'm przynajmniej nie wyżyła z zarobku w szwalni, gdybym sobie nie pomagała w inny sposób!... — twierdziła Klocia.

— Więc pani masz jakiś sposób?... — spytała naiwnie Antosia.

— Rzecz prosta; — może panna Antonina zechce mię odwiedzić, mieszkam ztąd niedaleko, wstąpimy do mieszkania tylko na chwilę i pomówimy o tem wszystkim...

Panna Klotylda zaprowadziła Hałastrowiczównę do swego mieszkania przy ulicy Królewskiej, gdzie na pierwszym piętrze w oficynie zajmowała bardzo ładny pokój o dwóch oknach, ubranych w bieluchne i strojne firanki. W tem mieszkaniu wszystko było wonne i tchnęło elegancyą. Znajdowały się tutaj kwiaty w doniczkach, ozdobnie oprawne fotografie, różne drobne cacka, a nawet kilka książek, co wszystko oddziaływało na Antosię przyjemnie.

— Ah, jakże tu u pani pięknie, jak miło! — zawołała. — Chciałabym mieć takie mieszkanie!

— Jeżeli tylko panna Antonina zechce,
Nowele Serya III.

życzenie może być z łatwością spełnione. I ja się także kiedyś biedziłam w brudnej izbie na poddaszu, zaciągałam długie, aby głód zaspokoić bułkami, miałam ciągle kłopoty; dzisiaj jużbym w ten sposób żyć nie mogła... Brr!... Co to za życie, lepiej nie żyć! Dziś, Bogu dzięki, nic mi nie brakuje.

— Ciekawam bardzo, jak też pani do tego wszystkiego doszła? — pytała Antosia.

— Mam przepis, którego mogę pani w sekrecie udzielić... Znam pewną dobrą kobietę, co się chętnie zajmuje dziewczętami, w naszym położeniu będącemi, udziela im rad zbawiennych.

— Doprawdy? Są takie kobiety? Dają pracę i łatwy sposób zarobkowania? A to pięknie!

— O, tak, tak! Mogę panią nawet z taką kobietą zapoznać. — Mówiła Klocia, uradowana wpływem, jaki wywarła na swą towarzyszkę.

— No, ale niechże mi pani powie, jaką robotę daje owa kobieta? Przecież darmo nikt pewno nie zechce rozdawać pieniędzy? Zresztą, dlaczego panna Klotylda pra-

ouje w szwalni, mając lepszy sposób zarabiania?

— Do szwalni chodzi się dla pozorów, robi się to dla krewnych, znajomych, ale nie dla zarobku; ja też często i nie chodzę do roboty... Po co mam chodzić, kiedy, nic nie robiąc, mogę zarobić daleko więcej?

— Więc to jakaś tajemna robota? Słyszałam ja, że niektóre kobiety ciągną duże zyski, wyrabiając papierosy; radzono to nawet mojej mamie; aleśmy się obawiały, bo podobno policya ściga i surowo karze takie przestępstwo...

— Ej! Ktoby tam robił papierosy!.. To jeszcze przecież gorsze, niż szycie. Praca, o jakiej ja mówię nie wymaga żadnych wysiłków... Potrzeba tylko być młodą, świeżą i umieć się podobać... — rzekła Klocia.

— Podobać się, podobać?... Komu się podobać? Dlaczego się podobać? — zapytała Antosia.

Klotylda poczęła się śmiać do rozpuku, przyciskając swoją głowę do włóczkowej poduszki na sofie; poczem powstała i zwra-

cają na towarzyszkę swe niebieskie, od śmiechu załzawione oczy, zawołała:

— Jakto, panno Antonino, pani istotnie tego nie wiesz, komu się kobieta podobać może?... Jak ojca kocham, nie uwierzę temu! I pani się jeszcze nigdy nikomu nie podobałaś? A to z pani ciekawe niewiniątko!

Teraz Antosia spłonęła cała ogniem, teraz pojęła, o co chodzi, zrozumiała, o jakim sposobie zarobkowania jest mowa. Przez jakiś czas milczała zgnębiona, spuściwszy w ziemię oczy; ale stopniowo w duszy jej wzbierało oburzenie, rozpalala się dumna krew Zbrojomirskich. Więc naraz uniosły się jej długie jedwabne rząsy do góry i błysnęła para rozognionych czarnych oczu, śmiało spotykająco drwiący wzrok i uśmiech Kłoci.

— Panno Klotyldo!— zawołała Hałastrowiczówna. — Ty chyba ze mnie żart sobie chciałaś zrobić; bo uczciwa kobieta nie może brać pieniędzy za to, że się komuś podoba. Jeżeli zaś masz taką przyjaciółkę, która ubogim dziewczętom podobnych rad udziela, ja jej znać nie chcę, abym nią nie potrzebowała pogardzać.

— Ha, ha, ha! To przepyszne! — mówiła Klocia, przymuszając się do śmiechu. — Wiedziałam, że pani jesteś dzielną dziewczyną; umyślnie powiedziałam ci te wszystkie banialuki, aby wywołać oburzenie... Czyżby panna Antonina mogła przypuszczać, iż z takich źródeł pochodzi moje powodzenie? Po prostu pracuję tak samo, jak pani, czasem tylko przez stosunki dostaje mi się do domu jaka korzystna robota... Jestem przytem sama jedna, podczas gdy pani masz na głowie matkę..

Następnie Klocia, kształcąca się na Fliegengarnową, nastroiła czułą fizyognomię i wyciągając ręce ku Antosi, rzekła słodkim głosem:

— Panno Antonina, mówmy sobie po imieniu i od dzisiaj bądźmy przyjaciółkami!..

Antosia z pewną nieufnością oraz niechęcią podała rękę swej towarzyszce, która rzuciła jej się na szyję i poczęła okrywać serdecznymi pocałunkami, wołając:

— Jesteś prawdziwym aniołem, piękna Antosiu!

Czy ta lekcya była dobrze wykonana przez

wychowankę Fliegengarnowej? Czy Antosia zostanie Kłocią?

Po pożegnaniu się i rozstaniu z nową przyjaciółką, Kłocia długi czas rozmyślała w samotności o oburzeniu panny Hałastrowiczówny na uczynioną propozycję.

Antosia propozycję odrzuciła; ale ją już słyszała. To także dużo znaczy.

X.

Pewnej niedzieli Idzi Łapozykiewicz oraz Lucyan Grzędzicki ułożyli się z lokatorkami na Tamce — matką i córką, ażeby dnia tego przed samym wieczorem odbyć wspólnie spacer do Łazienkowskiego parku, co też i wykonaniem zostało. Młoda para wyprzedziła starszą. Lucyan prowadził pod rękę Antosię. Szli wsparci na sobie, on ją pociągał i przyciągał tak, ażeby dotykalnie czuł to, co wielbił i kochał. Zanim doszli do Łazienek, już byli oboje rozmarzeni. Lucyan uczuwał w sobie ciągle wzrastającą potrzebę szczęścia, Antosi dobrze z nim było; on jej nie widział, nie słyszał prawie, lecz ją czuł przyczepioną do siebie i to mu wystarczało. Letnie powietrze miało własność upajającą, było ciepłe, pełne woni balsamicznej; czasem przeleciał lekki wietrzyk i więcej jeszcze rozognił ich lica.

Kiedy przybyli na miejsce, zajęli ławeczkę przed pałacem, w pobliżu fontanny; niebawem przybyła też za nimi i starsza para. Łagodny mrok padał na ziemię, niebo odbijało w wodzie swój błękit z gwiazdami, łabędzie z powagą przesuwały się po kanale, w krzewach na dobranoc śpiewały ptaszki. Pora taka sprzyja miłosnym uczuciom; głośna dzienna rozmowa kochanków staje się wtedy szeptem, dla nich tylko zrozumiałym, a wzrok oraz słuch oddają wtedy dotykowi w niezawodne ręce ważną sprawę miłości.

Lucyan z Antosią pierwsi powstali z ławeczki, stanęli oboje nad brzegiem wody, pokazywali sobie to gwiazdki na niebie, to posągi, to drzewa, które posrebrzał wschodzący księżyc. Niedługo też i starsza para opuściła ławeczkę, Łapczykiewicz z Hałastrowiczową zdali się być bardzo zajęci jakąś ważną rozmową, przechodzili kilka razy tam i napowrót, potem zapuścili się w jedną z cienistych alei parku. Młodzi mimowoli porzucili stanowisko swoje nad brzegiem i wolnym krokiem podążyli w aleję po stronie przeciwnej. Weszli wgląd parku, błą-

kali się po ulicach, przystawali w miejscach bezludnych, unikali nawet księżycowego światła. On ją obejmował, tulił, przyciskał, składał pocałunki na rękach dziewczyny, na włosach, czole, dotykał jej ust i — rzecz dziwna — to wszystko go nie zadawaniało, on całował nawet jej suknię. Coraz chętniej uciekali w poboczne, wąskie, cieniste ulice. Mówili do siebie mało, tylko lube szmery ich pieszczot drgały w powietrzu spokojnem, odświeżanem przez oddech liści, a wonnem od pyłu kwiatów. Ilekroć chodzi o sprawę ważną, ludzie mało mówią. Ma w sobie noc letnia nietylko powab; ale wywiera na duszę wpływ magnetyczny połyskiem światła niebieskich, błyszczaniem wód, od których się te światła odbijają i szeroko panującym milczeniem przyrody. Lucyan i Antosia ty sięgając razę powtórzyli sobie, że noc jest piękna; było im tak dobrze, tak błogo, iż wdzięczność swą dla nocy potrzebowali wyrazić. Około głów ich kupiły się komary, za komarami goniły nietoperze; pod błękitem u góry odzywały się het daleko ciche głosy nocą szybujących kulików; oni nie słyszeli

tego wszystkiego, nie nie spostrzegali. Nie uważali, że ich wszystko czarowało i pobudzało. Przyroda działa całym swoim ogółem — hurtownie.

Wyszli na polankę, zalaną strugą księżycowego światła, cienie ich odbiły się na ziemi i znowu spokojnie, jak duchy, utonęli w ciemnościach, zniknęli w gęstwinie drzew i krzewów. Już zeszli z tropu ścieżki; niby pijani tu i owdzie stawiali kroki, wałęsali się jako motyle noone przy odgłosie leniwej muzyki chrabąszczów, rozbijających się wgąszczu kasztanowych liści; zresztą, świat cały zniknął dla nich obojga.

Przechadzka ich znużyła, wyczerpała prawie siły obojga, a jednak oni szliby tak długo jeszcze, chcieliby iść życie całe i umrzeć wśród przechadzki, gdyby na tym padole względnych rozkoszy niemożliwym było dla człowieka zaznaczać kres wędrówce miłości.

Przed nimi widniał klomb krzewin, ustrojony w delikatny muslin mgły; była to ustron godna słowiczej miłości: jaśmin się mieszał tutaj z leszczyną, ligustr, wierzbolistna tawuła—z kaliną, brzezina—z głogiem, stary

jesion tu górnice królował w środku, niby błogosławid konarami, a pięć młodych modrzewi otaczały go, jakby za ręce się trzymając. On pierwszy skierował kroki w tę stronę, ona już mu się zupełnie powierzyła... Czemuż zdążali w gęstwinę?

Spleceni ze sobą, spojeni, przyklepieni jedno do drugiego, pijani rozkoszą weszli do owego klombu, który wydał im się być świętynią miłości; oni tam zginęli, utonęli. Na jej głowie dziwnie przekręciło się ubranie; on był niezadowolniony, że mu ośbądz cięży na czaszce, to zdejmował, to znowu wkładał kapelusz. Zatrzymali się... słyszeli szelst własnych sero, które były jak młoty, głużąc i oszołamiając rozum. Stanęli pod wysokim klonem; tu, wsparci o wysokie drzewo, szeptali jakieś wyrazy, pozbawione związku dla ludzi trzeźwych. Ileż słodyczy on z ust jej wyssał! Jakże szczęśliwą była i ona!...

Rozpoczęła się chwila zupełnego szału, chwila, w której mężczyzna osiąga zupełną przewagę nad kobietą. Sama przyroda działa wtedy wprawnie, nie potrzebuje do po-

mocy żadnego rozumowania. Siły jej grają wtedy tak potężnie, iż niema głosu, któregoby ona usłuchała. Ludzie nazywają to zapomnieniem, tymczasem ma tu właśnie miejsce najwyższy stopień pamięci; bo tego już nikt nie zdoła oduczyć rodzaju ludzkiego, tego człowiek nigdy nie zapomni.

Główka Antosi stała się jakby igraszką pieszczot Lucyana, bezsilnie opadała na wszystkie strony, a i cała kibiś zupełnie się podała w ręce kochanka. W nim zawrzała moc jakaś, jak błyskawica przeszła go całego przez mózg i serce. Przyroda stała się świadomą celu własnego... On do piersi swej przycisnął olbrzymio dziewczę; ona poczuła w nim tę potęgę, poczuła jego żar niesłychany; bladeść i drzenie nią oładnęły, osłabła, upadła już zupełnie w jego objęcia; stała się listkiem wątłym na łasce huraganu, atomem wody, przez palące słońce ssanym. I tak zsunęli się na miękką murawę zwikłani, żyjący tohem jednym. Ziemia boża tyle uczuć na świat wydała; jest ona twardem łóżem cierpienia, a najwspanialszem łóżem miłości. Ziemia, usłana miękką sasanką,

młodą trawą, mchem i stokrotkami, wonna od zapachów konwalii — zawsze dobra — przyciągnęła parę kochanków do siebie, jak przyciąga i tuli do serca wszystko, co żyje i umiera. Antosia bezmyślnie obwinęła cudne rączki i ramiona dokoła szyi Lucyana, głowę swoją do ust jego oisnęła, a on ustami ust tych szukał; gdy je znalazł, nastąpił wielki pocałunek, — może w życiu ludzkim jedyna, najwyższa chwila zgody, nieme zobopólne zeznanie, iż miłość stanowi prawdziwą rozkosz, jedyne szczęście, bez względu na to, że po nią tkwią ciernie i piołuny. Ale cóż to obchodzi ziemię, przyrodę?... Ona chce tylko, aby uzoście stało się faktem. Pojęli się wobec kwiatów i świętojańskich robaczków...

Teraz Antosia, zupełnie stytanizowana, każdą częścią swoich wdzięków należała do Lucyana... Teraz widocznem było, iż miękkość i delikatność kobiety wypracowane zostały przez dzieła miłości i dla celów miłości. Bo czyż bez tego miłość szczęście mogłaby dać człowiekowi? Czyżbyśmy wszyscy zapominali dla niej o strasznym, powszechnym głodzie życia?

Kiedy powstali, wspomnieli, że czas powracać. Ona była spokojna, rozjaśniona i całkiem na nim oparta; powierzała mu się z ufnością, z wdzięczną poufałością wisiała na jego ramieniu. On był poważny, zamyślony, przymuszał się, udawał szczęście, prawiąc jej o swej miłości. Tryumfy miłości nie są dla kobiety szczęściem, dla mężczyzny są one tylko chwilami szczęścia. Społeczne urządzenia i szeregi innych uczuć ratują nas w tem rozbioiu.

Biedna Antosiu, szkoda, że ty kochasz, bo na świecie będziesz odtąd tylko oackiem miłości!

Kiedy powrócili na Tamkę, mieszkanie wdowy było zamknięte; starsza para jeszcze do domu nie przybyła.

— Poszli widać dłuższą drogą. — Mówiła dziewczyna.

— O tak, nasza droga była znacznie krótsza! — odpowiedział Lucyan, przyoisakając do ust rękę Antosi.

Oczekując, przechadzali się na podwórku, a Lucyan stopniowo odzyskiwał znowu tkliwość kochanka; układali sobie częstsze spa-

cery do Łazienkowskiego parku, gdzie latem jest tak pięknie, przyjemnie; on jej uczynił nawet propozycję schadzki na drugi dzień wieczorem w Saskim ogrodzie. Zażycie było duża: *pan* i *pani* w ich dykcjonarzu zostały zastąpione przez *ty* — wyraz, jednoczący stany i płci.

Nareszcie przybyła i matka z Łapczykiewiczem.

— Szukaliśmy was po całym Łazienkach. — Rzekła Hałastrowiczowa takim tonem, jakby się sama usprawiedliwiać chciała raczej, niż robiła córce wyrzuty.

— A my szukaliśmy państwa. — Odpark Lucyan.

— Ja też to samo mówiłem pani kumie. — Wtrącił pan Idzi.

— No, chwała Bogu, żeśmy się nareszcie znaleźli i że się nikomu nie złego nie stało! — Zawołała Hałastrowiczowa.

Łapczykiewicz zukosa rzucił złośliwe i podejrzliwe spojrzenie na córkę, której pomieszanie ukryły cienie nocy. Nastąpiło ogólne pożegnanie i Antosia uczuła na swej ręce taki uścisk oraz pocałunek, że się w niej

przez noc całą we śnie odzywał. Niedziw, bo dla niej pocałunek stanowił stwierdzenie wiary w szczęście... Ale nie wszystko jest prawdą, w co człowiek wierzy, a wiara w szczęście jest najczęściej własnym naszym pragnieniem tylko...

XI.

Świat jest rajem, dopóki człowiekowi otwiera bramy szczęścia, gdy mu daje możliwość nasycenia żądz i pragnień. Ale jak czarna przepaść świat się przedstawia, gdy nam zagarnia i wydziera prawo do szczęścia, gdy wszelkie pragnienie użycia tamuje. Tylko w spokoju i lubości malujemy sobie obrazy wyższego dobra, tworzymy piękne a niedoścignione ideały. Kiedy zaś stoi przed nami naga nędza życia, wtedy opadają wszystkie złote listki oraz urocze kwiaty z drzewa idealności.

Pan Lucyan już teraz coraz mniej poszukiwał Antosi; tylko ona tęskniła za nim ciągle, w każdej chwili swego życia. Już się odtąd nie ścigali wzrokiem; oni jedynie miewali ze sobą schadzki...

On należał do rzędu młodzieży, której nie nauczono społecznych obowiązków wzglę.

dem kobiety. Taki idzie zawsze za popędem tak zwanego serca, to jest lubi płeć piękną i stara się o jej względy: gdy się żeni, czyni to pod wpływem chwilowego uniesienia, jest złym mężem, złym ojcem rodziny,—gdy kocha, zdradza. Smutnym jest obraz mężczyzny, który, zadowolniwszy uczucia miłości, nie posiada już w duszy nic, coby go krzepiło w obojętności dla ufającej mu szczerze niewiasty; nawet znaczne dzieła pracy nie zdołają zrównoważyć szczyby w jego charakterze na tym punkcie, szczyby napiętnowanej mianem krzywdy bliźniego.

Antosia oddała się Lucyanowi prędko i bezwarunkowo, przeto szybko i stanowczo sprzykrzył ją sobie; miłość dziewczyny wydała mu się natrętną, począł jej unikać coraz staranniej; przestał bywać w odwiedzinach u wdowy i córki; nareszcie jednego dnia typowy ten wychowaniec wielkiego miasta wyniósł się niespostrzeżenie z ofiocy na Tamoe i zniknął gdzieś bez śladu.

Inaczej z nią było. Ona tęskniła za nim smutna, popłakiwała gorzko, oczyma poszukiwała go w tłumie przechodzących ulicą

ludzi. Pobladła wdzięczna krasa jej młodości, zasępiło się wewnętrzne duchowe życie—posmutniała. Chodziła do szwalni rankiem, jak zwykle, wstępowała do kościoła Świętego Krzyża i w kaplicy na lewo modliła się bardzo gorąco. Modlitwy nie mieszała jej już obraz młodzieńca, stojącego na boku; ale ją smutek jakiś tłoczył i zwykle łzę uroniła. Gdy powstała z przed ołtarza, zawracała niespokojnie dokoła błędnem okiem, a nigdy już nie znalazła blisko siebie Lucyana. Przez czas jakiś zdawało jej się, że w oczach jego zmaląła, że mu zbrzydła, że jej nie kochał, ponieważ ona nie zasługiwała na miłość. I jako taka poniżona, jako taka zmaląła i pogardy godna istota, jeszcze go kochała, jeszcze goniła za nim sercem, a we śnie widywała go wyraźniej, niż na jawie. W szwalni wśród towarzyszek swoich pracowała spokojnie. Nie wiedziała zaś sama, dlaczego mimowolnie wzrastała jej sympatia dla Klucy; lubiła z nią teraz rozmawiać. Bakteryje cudzego pesymizmu i niewiary kolonizują się w duszy wtedy, gdy znajdują odpowiednie warunki psychiczne: tak jak

zarazki chorób fizycznych, jak wreszcie wszystkie stany życia. Antosia przechodziła z jednego duchowego stanu w drugi: od miłości zdążyła do zapomnienia swego kochanka; była zdrową, więc organizm reagował prawidłowo.

Wdzięki dziewczyny nie utraciły atoli swojej siły, tylko że w zwierciadło nie spoglądała teraz tak często, jak to miało miejsce dawniej; widocznie mniej kochała już samą siebie. Jednakże mniej nawet baczny spostrzegacz mógłby być zauważyć we wdziękach Antosi zmiany, wprowadzie małoznaczące, ale dużo mówiące: brak dawnej swobody i prawie dziecięcej naiwności; twarz jej nabrała jakiejś surowszej powagi, dojrzałości czy mądrości. Miłość, która przebyła doświadczenie, duchowe swoje elementa uzewnętrzniła we właściwym wyrazie fizyognomii kobiety. Ewę można odgadnąć jednak, a niekoniecznie być z nią skazanym na emigrację z Raju. Lucyan stanowi dowód, że z tego rajy można także dobrowolnie uciekać.

W późniejszym czasie obraz kochanego młodzieńca coraz rzadziej wynurzał się z pa-

mięci dziewczyny; nareszcie nadszedł czas, że obraz ten zatarł się tak bardzo i zniknął na tyle, iż nie mieszał wcale ani modlitwy, ani najpowszechniejszych jej zajęć; może tylko kapryśne marzenie senne uprzytomniało jeszcze niekiedy postać kochanka i godne pamięci chwile, spędzone w Łazienkowskim parku podczas nocy letniej. W każdym razie, szczęściem zawiedzionych kobiet jest zapomnienie.

Życie ludzkie nie z samą tylko miłością ma do czynienia; obsługa głodu także zaniedbaną być nie może. Bo jeżeli miłość ukazuje na byt gatunku w przyszłości, głód nas napomina, że my istnieć musimy: miłość jest idealniejszą, głód — rzeczywistym, tem sroższym. Dlatego to większość śmiertelników wyrzeka się miłości na rzecz rosółu i kawałka mięsa.

„Ile dostanę posagu?” może być także hasłem ciężkiego żelaznego wieku. I to — dobre hasło, jeżeli się nie uwzględnia drugiego, równie uprawnionego społecznego pytania:

„A cóż pocznie niewiasta, pozbawiona posagu?”

Łapczykiewicz, który nie miał na celu zaspakajania uczuć miłości, był dla matki stałym, a nie dla córki. Skoro jednakże Hałastrowiczowa zapadła w chorobę, gdy ujrzał, iż bieda może tu tylko wzrastać i wciskać się wszystkimi szparami, wtedy uznał za najwłaściwsze zreiterować, wycisnąwszy od kumy wszystko, co się dało. Zniknął więc i on także bez wieści.

Znowu samotne, bez przyjaciół zostały dwie kobiety. Były one smutne i w smutku złe jedna dla drugiej. Antosia, czuła, że upadła; matka widziała zbliżające się niedołęstwo i nędzę; modliła się — napróżno. O co ona Boga prosiła? Modlitwy Hałastrowiczowej przynosiły jej istotnie pociechę i sprawiały ulgę w cierpieniach reumatycznych oraz w trosce nad niedolą. Nie były to zresztą jakieś ciepłe wzniesienia duszy, dodające rezygnacyi człowiekowi, który żywi wiarę w wysokie dobra idealne. To było mechaniczne klepanie paciery i koronek, wyzwalenie jakbądź siły w tym celu, aby — według znanego prawa — osłabić cierpienie; przytem i czas jej prędzej upływał.

Jakieś ciężkie reumatyczne bóle, umiejscowione przeważnie w nogach, powaliły na łóżko matkę Antosi. Jęczała całymi godzinami, a rzadko kiedy z trudem zwlec się mogła na izbę. W czasie tej choroby stała się nieznośnie dokuczliwą i nieustannie zrędziała, wyrzekając:

— Nie dbasz o mnie, matka ciężarem ci się wydaje! Taka to dziś wdzięczność dzieci za trudy, za wychowanie!

Inną razą popadała w dziwny afekt; bez żadnej widocznej przyczyny porywał ją płacz spazmatyczny i godzinami trzęsła się w szlochach a łkaniach. Niekiedy znowu unosiła się gniewem, lżyła córkę, miotała szpetne przekleństwa.

— Życie mi obrzydło przy mamie! Wolałabym tysiąc razy umrzeć!— Wołała nieraz dziewczyna, doprowadzona do ostateczności przez cudaczne zachowanie się matki.

— Młocz, niewdzięczna żmijo! Gryziesz mię za to, że cię własnem mlekiem wykarmiła!... O, tak, tak, zabijesz matkę starą, abys mogła potem świata używać! — Krzy

ozala w uniesieniu Hałastrowiczowa, drażliwa na wszelką opozycję.

Bywało gorzej, bo matka obelżywie wspominała córce stosunek z Lucyanem:

— Ozeniłby się może z tobą, ale poznał odrazu, coś warta!... Łazłaś mu w ręce, lizałaś się... musiał uciec od takiej!

Córka nie zostawała też wtedy bez odpowiedzi, umiała się odciąć, dopiec matce.

Antosia, znękana już pracą w szwalni, przybywała do domu, gdzie ją oczekiwały sceny właśnie tego rodzaju, a nadto musiała ona ponosić ciężki trud obsługiwania matki. W takim stanie rzeczy spowszedniały jej cierpienia rodzicielki, poczęła obojętnieć i tępieć moralnie. Kiedy się choroba wzmogła, wzrosła i drażliwość chorej; nie było rady, należało przyzwać raz i drugi raz lekarza, zakupić lekarstwa. Na to wszystko nie wystarował zarobek dziewczęcia. Poszły więc na sprzedaż suknie i tak już nie zbyteczne, urósł dług w sklepiku, a zapłacenie miesięcznego komornego stało się czystym niepodobieństwem.

Posmutniała Antosia, bo chociaż bieda nie była dla niej nowością; ale teraz oto całe

brzemie różnorodnego strapienia spadło jej jednej na głowę. Mimowoli od czasu do czasu przesuwała się w myśli dziewczyny Kłocia i jej przyjaciółka, opiekunka młodych dziewcząt. Okoliczności powyższe torowały przeto same drogę dla Fliegengarnowej. Tak zawsze bywa na naszej planecie i w naszym społecznym układzie.

XII.

Tymczasem Róża Fliegengarnowa wiedziała mniej więcej szczegółowo o wszystkich wypadkach, zaszłych na Tamce w lokalu pod Nr. 10, wiedziała o tem po części od Kłoci, a głównie od stróża Łukasza i od sklepiczarki z sąsiedniego domu. Nie działała ona pośpiesznie, albowiem zwłoka wychodziła na jej korzyść; wobec hrabiego zwłokę taką objaśniała Różia trudnościami, z którymi się musiała łamać, choć dla niego pozyskać Antosię. Ztąd — naturalnie — płynęły nowe rozszczenia do pokrycia urojonych kosztów.

Gdy atoli sprawa najzupełniej dojrzała, gdy Fliegengarnowa sprawdziła ulotnienie się Lucyana i Łapczykiewicza, których miała się powód obawiać, — gdy choroba Hałastrowiczowej sprowadziła niedostatek, wtedy postanowiła wyruszyć w pole. Mądra baba myślała sobie:

— Ten Lucyan nie bez kozery zniknął, więc pracował dla mnie, zdobył fortecę, w której ja wywieszę moje sztandary. Matka—chora, choć z nią i przy zdrowiu nie byłoby wiele zachodu. Nędza w domu straszna, przytęm kłótnie; sklepiczarka o dług się upomina, a stróż przypomina dziewczynie każdego dnia rano i wieczór o komornem. Cóż ptaszek zrobi, ciekawam? Sukienek na sprzedaż już zabrakło. Z głodu nie umrze, nie głupia! Zresztą łąsi się już do Kłoci, a to znak najlepszy, że propozycya w sercu utknęła.

Jednego więc dnia, gdy Antosia przebywała u roboty w szwalni, a schorowana Hałastrowiczowa odmawiała swoje pacierze, pojawiła się Fliegengarnowa na progu ich mieszkania i, wchodząc, rzekła:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków, amen. — Odpowiedziała wdowa, zwracając ku drzwiom głowę w brudnym czepku.

— Czy mam przyjemność mówić z panią Anielą Hałastrowiczową? — zapytała przybyła jak najśłodszy głośem.

— Tak jest! — odrzekła chora. — Jestem właśnie tą samą, o którą pani dobrodziejka zapytuje.

— To bardzo dobrze, bardzo dobrze — mówiła Rózia, siadając przy łóżku i rozpatrując się uważnie w sprzętach izby. — Czy to szanowna pani odebrała przed niedawnym czasem zapomogę od pewnego hrabiego w ilości stu rubli?

Pytanie to widocznie zakłopotало nieco matkę Antosi, gdyż się lekko zarumieniła i niepewnym głosem odrzekła:

— To jest, córka moja... Właściwie mówiąc, chcielibyśmy te pieniądze odesłać; ale jakoś nam tak zeszło... Zresztą grzeczność i łaska pana hrabiego...

— O, niechże sobie panie nie robią skrupułów! Hrabia jest człowiekiem znanym z dobroczynności, przekonał się o smutnem waszem położeniu i postanowił zająć się polepszeniem losu obu pań. Cóż to dziwnego? Takich przykładów wspaniałomyślności hrabiego znam bardzo wiele.

— Jakżem wdzięczna — mówiła Hałastrowiczowa — Bóg nie zapomniał o nas bie-

dnych kobietach i zsyła nam aniołów dobroci; nigdy się modlić nie przestanę za pana hrabiego, za dobroczyńców naszych. Ale czemże sobie mogłyśmy, biedne sieroty, zasłużyć na łaskawe względy tak wielkiego pana?

— Czem?... Hrabia zobaczył w sklepie córkę pani, panienkę, o ile wiem, skromną i bardzo przystojną, spodobała mu się, więc powziął myśl otoczenia was swoją opieką... Pani sobie nie wyobrażasz nawet, jak się może zmienić przykre wasze położenie, jeżeli hrabia rękę swoją tu przyłoży. Bo to już nie o jakieś marne sto rubli chodzi — oiągnęła z naciskiem Fliegengarnowa — tu chodzi o całe życie pani i o przyszłość córki.

Rozjaśniła się Hałastrowiczowa, a jej ruchy i wyraz zadowolenienia nie uszły bacznej Róży.

— Nie dziwię ja się tak dalece wspaniałomyślności pana hrabiego — prawda wdowa — znam i ja przecież wielkich panów, wśród nich spędziłam najpiękniejsze młode lata... Książęta Zbrojomirscy, Boże miły!...

— Pani znasz księcia Zbrojomirskiego?—

zapytała Fliegengarnowa, przesywając przenikliwym wzrokiem Hałastrowiczową.

— Któż go lepiej odemnie znać może? — odpowiedziała Hałastrowiczowa z pewną dumą; a zapalając się wspomnieniami, mówiła: — Minione to już czasy, byłam wtedy młodą, piękną... Książę był także młodym, zachwycającym...

— Ależ rozumiem, moja pani, rozumiem takie rzeczy! — zawołała Rózia. — Możemy się obie najzupełniej porozumieć. Wszakże to wszystko, co panią spotykało w młodości, spotyka teraz córkę, pannę Antoninę — jeśli się nie mylę... Ma być bardzo piękną osobą.

— Istotnie, Antosia jest przystojna, wszyscy powiadają, że ma moje rysy... O, ja w młodości byłam piękna, podobałam się... mężczyźni przepadali za mną. — Wdowa lubiła rozmowę na ten temat i chętnie opowiadała o sobie każdemu, kto jej chciał słuchać.

— Żeś pani była kiedyś piękną, znać to dziś jeszcze, zostały rysy, oczy, figura... Ale widzi kochana pani, w naszym wieku nie chodzi już kobiecie o urodę... A jeśli się

w młodości nie oszczędziło, to teraz trzeba zarabiać na życie, bo starość jest za pasem... przyjdzie i źle będzie z nami. Pani możesz być w moim wieku mniej więcej, trafia wam się sposobność dobrze zarobić, nie należy tego opuszczać, bo drugi raz, kto wie, czy się coś podobnego zdarzy.

— Święta prawda, zwłaszcza, że tu o moje dziecko chodzi! — rzecze Hałastrowiczowa. — W tej szwalni, czego ona się tam doczeka?... Za mąż też niełatwo dziś wyjść dziewczynie bez posagu. Na pańskim dworze chciałabym przed śmiercią widzieć Antosię, a byłabym pewna jej losu, kawałka chleba... Cóż to ja nie wiem, jak mi było?... Wielbiono, pieszczono, wyposażono; ptasiego mleka nie zbrakło!

— A czy panna Antonina potrafi się do woli matki zastosować? Czy zrozumie własną korzyść?

— Kto to może wiedzieć, łaskawa pani. Dzisiejsze córki inne; nie posłucha może matki! Uparte z niej dziecko, samowoli ma za dużo, dola moja jej nie wzrusza... A tu, widzi pani, co się ze mną dzieje! Łazarzem

jestem!... — Przy tych słowach poczęła Hałastrowiczowa szlochać.

— Niechże się pani uspokoi. — Zawołała Fliegengarnowa. — Jednej dziewczynie, dzie-
oku, smarkuli radybyśmy we dwie nie dały?
Cóż znowu? Zabierzmy się tylko szczerze,
aby jej szczęście zapewnić, a wszystko pój-
dzie jak po maśle. Takie młode z początku
bierze na kiel, ma skrupuły... ale gdy pó-
źniej zobaczy około siebie dostatki, gdy się
po świecie rozpatrzy i ujrzy, że jej jest do-
brze, do śmierci nie przestanie nam być
wdzięczną.

— Mocno w to wierzę! — odrzekła wdo-
wa. — Jakżebym ja chciała, żeby Antosia
słyszała te święte słowa, żeby wiedziała, iż
nietylko matka tak mówi, ale i bezinteres-
wni ludzie...

— To się da zrobić z łatwością, przyślij
pani tylko do mnie dziewczynę jutro wie-
czorem, pogadamy szczerze w cztery oczy;
oto mój adres — mówiła Fliegengarnowa,
podając chorej bilet wizytowy. — A ponie-
waż tu u was, jak widzę, bieda aż piszczy,
a serce mi się kraje na ten widok, więc zo-

stawiam pani dziesięć rubli... Niech to będzie zadatkiem naszych przyjacielskich stosunków.

Rozczuliła się Hałastrowiczowa z tego obrotu sprawy i nie szczędziła słów wdzięczności dla nieznajomej kobiety. Wśród wzruszeń takich opuściły ją nawet bóle, uczuła, że jest zdrowszą, a po wyjściu Fliegengarnowej utonęła całkiem w nabożeństwie, dziękując Bogu, iż jej w strapieniu i dolegliwości zesłał opiekuńczego anioła.

Tego samego dnia wieczorem Antosia wyszła ze szwalni w towarzystwie Kloci; obie dziewczyny wzięły się pod rękę i rozmawiały ze sobą, jak najlepsze przyjaciółki.

— Czyś ty, Klociu, kochała kiedy mężo-
czyznę? — zapytała bardzo poważnie Antosia.

— Jeden, jedyny raz i pewnie ostatni w życiu byłam bardzo zadurzona w pewnym facecie — odrzekła Klocia. — Ale trzeba ci wiedzieć, że nie lubię o tem mówić.

— A ja bym właśnie tak bardzo chciała,

żebyś ze mną szczerze pomówiła o swojej miłości.

— Ciekawam, co ci z tego przyjdzie? Chyba się sama kochasz w jakim akademiku? No, to ci dam radę: rzuć go do dyabła, zanim on cię porzuci, bo cię porzuci z pewnością.

— Dlaczego tak mówisz?

— Dlatego, że tak jest na świecie i basta! Szwaczkę się uwodzi i porzuca!

Hałastrowiczówna ciężko westchnęła, a jej towarzyszka mówiła dalej:

— Chcesz, — wierz, nie wierz, jak ci się podoba; przecież ja w miłości twojej nie mam żadnego interesu.

— Cóż więc pozostaje robić zdradzonej kobiecie? — spytała znowu Antosia.

— Taka powinna najprzód zapomnieć, że kochała i że ją zdradzono, a potem to różnie bywa... Mojem zdaniem, zdradzona kobieta powinna sobie jeszcze powiedzieć, że była głupia i postanowić być mędrszą...

— W czymże się ma pokazać mądrość taka?

— Oszukiwano mnie, będę i ja oszukiwała... Bo cóż innego pozostaje zrobić takiej

biedacze? Ten, którego kochała, nietylko ją opuścił, ale jeszcze osławił... Ozenić się z nią nie miał nigdy zamiaru: szukał zabawy, przyjemności; gdy znalazł zabawkę, używał jej czas jakiś, potem popsuł i rzucił!... Czyż on zasługuje, aby go żałować? Z łatwowierną kobietą postępuje w ten sposób każdy mężczyzna. Co do mnie, przestałam się oburzać na taką nikczemność silniejszych; widać świat nie rozumie sprawiedliwości, gdy chodzi o kobietę.

Antosia znowu westchnęła i spytała:

— Czy przechodziłaś wszystkie te koleje?

— Napróźnobym się zapierała, losu to mojego nie zmieni?... Ale dlaczego się ty tak dopytujesz? Czy sama nie jesteś w podobnem położeniu?

Antosia nic nie odpowiedziała, ozwała tylko, iż potrzebuje dłużej jeszcze słuchać Kłoci, która tak dalej mówiła:

— Moja kochana, nie pierwszaś i nie ostatnia! Nieszczęściem twojem jest, żeś biedna szwaczka i żeś urodziwa; taka musi zginąć. Bo jedni za takie pieniądze wyzyskają twoją pracę, inni za darmo oześ ci odbiorą...

A potem — ani Bóg, ani ludzie nie okażą ci litości... Tylko wzdargę rzuci każdy w oczy. Kobieta, która się pozwala uwodzić, jest lekką i na starość zostaje śmieciarką. Mężczyzna uwodzący jest zawsze tem, czem był. Ale ja się obawiam, Antosiu, mówić z tobą otwarcie o tych rzeczach; pamiętam, jak się raz oburzyłaś na mnie... Pokochałam cię za to, lecz żałowałam zawsze szlachetnego serca i wielkiej urody. Oburzałam się przeciw i ja nigdyś...

— Dzisiaj mów mi już wszystko! — powiedziała Hałastrowiczówna oichym głosem i ze łzą w oku.

— No, więc ci powtarzam, że takim biedaczkom, jak ty i ja, nie jest wolno kochać! — rzekła Klocia dobitnym głosem. — Możemy jednak pozwolić, aby nas kochano. Ty na przykład spodobałaś się jakiemuś urwipolowi hrabiemu, który po dobrych ucztach poszukuje głodnych dziewcząt, aby ich wdzięki do reszty go nasyciły... Czy wiesz o tem polowaniu, na ciebie założonem?

— Wiem!... Wiem! — odrzekła Antosia.

— Więc mu się podobaj! . Niechaj ci pła-

oi, jak można najdrożej, za każde twoje uprzejme słowo, za każdy uścisk ręki, za każde spojrzenie... Ruinuj go bez litości i pogardzaj nim szczerze! Bo on cię przeocież rzuci, jak zużyty łachman, gdy pierwsze zmarszczki dojrzy na twojej twarzy. Nie miej skrupułu, bo on pogardzi tobą kiedyś, a z nim pogardzi świat cały. Dzisiaj on, ościgodny człowiek, pan wielki, zapłaci za ciebie, jak za pięknego psa lub konia, więc się targuj: sprzedaj, jak najmniej—bierz, jak najwięcej. Bo jeden jego wszeteczny całus powinien za całe twoje życie zapłacić pieniędzmi. Gdybyś w tych uściskach szukała szczęścia, byłabyś istotnie nikczemną kobietą... One nas mogą tylko wstrętem napełniać! Czy znasz tego hrabiego?...

— Znam! — odpowiedziała Antosia.

— Tem lepiej — mówiła spokojniej Kłocia — nie pozwalajże, aby na tem, co jest twoje, zarabiali inni; bo cię gotowi są odebrać z duszy i z ciała, — ze wszystkiego, a potem opuścić nieszczęśliwą.

— Któż to taki ma jeszcze na mnie zarabiać?

— Moja Antosiu, cały targ idzie o piękną kobietę... Wojsko faktorów i faktorek czatuje, jak stado hyen i szakali, aby się napaść i utuczyć trupem czoj niewieściej. Tymczasem strzeż się... Gdy będzie potrzeba, ja ci wszystko wyjaśnię. Więc wiesz i adres tego hrabiego?

— A wiem!

— Bardzo dobrze!... Urządzimy sztukę pewnej czarownicy, mojej przybranej matusi, która już pewnie dosyć pieniędzy za ciebie utargowała, chociaż jesteś dopiero kotem w worku. Słuchaj, Antosiu, jeżeli się zdecydujesz na swego hrabiego, nie zrób jednego kroku bez mojej rady. Ofiarą ty już jesteś; ale i ofiara bronić się musi, dopóki żyje.

Po tej rozmowie, obie przyjaciółki uściśnęły się szczerze i każda poszła w swoją stronę.

XIII.

Kiedy Antosia po owej pamiętnej rozmowie z Kłocią wróciła do domu, zastała tu matkę w wybornym humorze.

— Wiesz co, Antosiu — mówiła — Pan Bóg jednakże nie zapomina o nas biednych.

— A zkadże mama wie o tem? — pytała córka dosyć opryskliwie, będąc gorzko usposobioną przez Kłocię.

— Zkąd ja wiem?... No, powiem ci zaraz; modliłam się, modliłam... i oto mamy pociechę niespodziewaną — to mówiąco Hałastrowiczowa pokazała dziesięciorublówkę.

— Któż to dał mamie te pieniądze? — zapytała Antosia, surowo wpatrując się w matkę.

— Cóż na mnie patrzysz takim straszonym wzrokiem? — zawołała wdowa.

— Niech mi mama powie, kto tu był u nas dzisiaj, a będę wiedziała, jakimi to

drogami Opatrzność nawiedza biedną szwaczkę. Kto przyniósł te dziesięć rubli?...

Hałastrowiczowa nigdy jeszcze nie widziała u swej córki takiej fizyognomii i nigdy nie słyszała z ust jej tak stanowczej mowy; zmieszała się przeto, mówiąc z cicha:

— Kto?... Kto?... Zgadnij!...

Antosia wpatrzyła się w matkę przenikliwie, około ust jej przemknął uśmiech pogardy i rzekła dobitnym głosem:

— Była tu ohyba jaka kobieta, przysłała przez hrabiego!

— Rzecz dziwna, odgadłaś. Czy oi to kto powiedział?

— Proszę mamy oddać mi natychmiast te dziesięć rubli! — zawołała Antosia podniesionym głosem, a poblądłe jej usta dziwnie drgały.

— Co chcesz zrobić z niemi? — pytała przestraszona matka.

— Zrobię to, co się powinno zrobić z zadatkiem na towar, który nie jest do sprzedania.

— Ależ bój się Boga, dziewczyno, miej zastanowienie!... Jeść co nie mamy, długi, komorne!

— Ha, w takim razie pomrzemy z głodu, potem nas zlicytują, następnie wyrzucą z mieszkania, a ostatecznie muszą wyprawić pogrzeb !...

— Jezus Marya, Józefie święty! — zawołała Hałastrowiczowa, zrywając się z łóżka — co się z tobą stało dzisiaj, Antosiu?

— A ja mamę proszę o oddanie mi dziesięciu rubli, bo inaczej, natychmiast dom opuszczę i nigdy już do niego nie powrócę!

— Antosiu, zlituj się nad chorą matką!

— Młoda córka potrzebuje także litości swojej matki!... Żądania mego drugi raz nie powtórzę, lecz wykenam, oom postanowiła... Bo wolno ci, matko, rozporządzać moim zarobkiem; ale nie masz prawa mną handlować, a ty sprzedałaś mię faktorce!

Hałastrowiczowa ukryła twarz w dłoniach, poczęła łkać i jęczeć. Tymczasem Antosia wzburzona, zbliżyła się do łóżka i porwała matce dziesięciorublowy papierek, w którym zawinięty był bilet wizytowy z napisem: „Róża Fliegengarn, ulica Bielańska, Nr. X”.

W godzinę czasu po takim zejściu z matką, Antosia zapukała do mieszkania Kłoci.

— Patrz, oto mię już targują! Mam w rękach dziesięć rubli zadatku i adres miejsca dostawy.

Kłocia spojrziała uważnie na kartę wizytową i rzekła spokojnie:

— Znam tę fabrykę brudu i występku... Otochłań nędzy, wytworzonej przez pragnienie głodu i miłości. Wszystkie potoki ludzkiej nicozemności, w tę jedną kałużę zbiegły, aby ludzie mieli na sobie zresztą pozory cnoty. Choiwość, wyzysk, oszustwo, kłamstwo, dają tu sobie rendez vous z pychą, żądzą i obludą, po to, aby zgubić słabą kobietę.

— A przecież ona i bez tego nieraz ginie — rzekła Antosia.

I bez pomocy Fliegengarnowej, dzięki Kłoci, Antosia została tem, do czego ją popychał ogół warunków i stosunków. Nie upłynął tydzień czasu, a już uboga szwaczka opływała w dostatki, porzuciła szwalnię przy ulicy Senatorskiej, najęła gustowne mieszkanie przy Nowym Świecie i można

ją było widzieć codziennie, jak około pierwszej zrana przejeżdżała dorożką pierwszej klasy na spacer w Ujazdowskie Aleje. Hrabia Oskar, pan taki duży, nie żałował pieniędzy na przyjemności dla Antosi.

Złota młodzież traciła głowy za Hałastrowiczówną, a ona starała się wszystkim podobać, o ile za to płacili.

— Jest to jedyna dzielna dziewczyna w całej Warszawie — powtarzali rujnujący się panowie i bankierzy.

Przemiana więc ludzkiej niedoli na szczęście, pozostaje częstokroć w stosunku prostym do zmiany życia enotliwego na hańbiące rzemiosło. Jednak ci, którzy mają w duszy wielkie skarby, nie wymieniają ich na pieniądze. Tacy giną. Bóg dobry i to znosi, a przeto wszyscy Go chwala.

K O N I E C.



**INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN**

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-900 Warszawa

Tel. 26-68 63, 26-52-31 w. 42

F

665